

1077  
25124

Wilia Bożego Narodzenia,

przez

Józefa Dzierzkowskiego.



L W Ó W.

Nakładem H. Stupnickiego.

Drukiem M. F. Poremby.

1865.

KSIEGARNIA  
IMILKOWSKIEGO  
WE LWOWIE

124



*Jose*

# Wilia Bożego Narodzenia,

przez

Józefa Dzierzkowskiego.

*Jan*



**LWÓW.**

Drukiem M. F. Poremby

1865.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005029840

Wzrost i siła

przez

prof. dr. Józefa Batczkowskiego.



II 486.768

LWÓW.  
Drukarnia M. T. Porombki  
1885.



# Wilia Bożego Narodzenia.

gawęda przy kominku,

Część I.

**Stary gajowy.**

Niemcy i Francuzi obmawiają naszą zimę, narzekając w ogóle na nasz klimat i kraj niedziedzi! Niech sobie obmawiają zdrowi. Zima polska jest zaiste luta, krzepka, ale i krzepiąca ducha, bo hartuje ciało, by hartownej duszy być mogła futerałem. To też ktośkolwiek z nas bawił dłuższy czas za granicą, przebył te blade, mokre i dżdżyste naśladownictwo zimy, co tam zimą nazywają, zatęsknił niezawodnie za polską zimą, za brylantami iskrzącą się sanna naszą, po której tak raznie pędzić, z myślą naprzód weselącą się, ciepłą gościnnością, jaka go oczekuje w naszych dobrze zaopatrzonych polskich dworach, w których jedynie piec jest prawdziwym piecem, dającym lubo ciepło, nie tym jakimś, dętym, lanym i rzniętym gratem, który zowią za granicą piecem, a który więcej śwędzi niż grzeje, czadem głowę, ale nie ciepłem ciało obdarzy.

Lecz nie o piecach chciałem mówić!.. Zima polska ma wiele, innych jeszcze powabów i zalet, nam tylko dobrze znanych, i o nich po krótko pozwólcie bym miasto wstępu pogawędził trocha!

Lecz rozróżniam zimę w mieście od zimy na wsi. Prawdziwie polska zima, w jej znaczeniu wyższem, społecznem, które głównie podnieść myślę, jest ta co na wsi. Zima w mieście to już i u nas zima więcej europejska. Z miast nikną cechy zimy polskiej, a coraz więcej dzięki tym nienasyconym wojażerom naszym, co swe półgłówki wywożą za granicę, by je naszpikować cudzemi narowami i zwyczajami — dzięki tym prawdziwym przemytnikom (na których niema niestety! komory) wszelkich głupstw, śmieszności i niedorzeczności, obywatelą się i rozrastają jak osty i badyle, obce obyczaje! Szerokoby o tem gawędzić! i możeby cie niechcieli słuchać starego gadułę, zwąc go moralistą przedwiekowym, poplecznikiem starych przesądów. Wolę uciekać co rychlej na wieś i kończyć tam gawędkę moją przedwilijną o zimie polskiej. Aby się wam za długiem niewydało moje gawędzenie, więc najprzód i raz na zawsze proszę o pobłażanie dla narowów siwizny — bujał i ja kiedyś w szybkiej i lekkiej bieganinie jęczyczej; ale dziś człek kontent, gdy jeszcze stępem chodzi mu gawęda; a powtóre, najuroczyściej przyrzekam że wnet dobiegnę do zdarzeń ciekawszych, które wam opowiedzieć zamyślam.

Zima na wsi, chociaż ją także psuć zaczynają jakieś zagranicznych komfortów wymysły, zachowuje najwięcej jeszcze cech obyczajowych polskich. Ciśnie nas mimowolnie do szczuplejszego kółka, wprowadza nas na tor życia domowego, rodzinnego, przyzwyczajają do pewnego rozpamiętywania, które otrzeźwiając umysł, z przemagającego roztrzepania społecznego, wraca nas do spokojniejszych myśli i uczuć, budzi pamiętki, i nieznacznie przez to samo roznieca i wskrzesza przeszłość naszą w domowych kółkach pełnych myśli i uczuć dawniejszych, odznaczonych zacierającami się pomalu obyczajami rodzinnymi!

## II.

„Litwo ojczyzna moja!“ powiedział nasz wielki wieszcz! i dla tego ją tak miłował, bo myśl o niej przywodziła na pamięć wszystkie uczucia i marzenia, wszelki zapal i natchnienia, jakimi tu piersi olbrzymie napelniła Litwa ojczysta! . . . Ja bym ledwie nie przemó-

wił podobnie do naszej polskiej zimy, która nieraz, gdym ją na wsi przepędził, w ciełym dworku szlacheckim była mi ojcystym zdrojem, oczyszczającym duszę i serce z kału i zamętu życia rozerwanego! I dziś jeszcze miłe mnie z tamąd dochodzą pamiątki tych cudnych a prostych pogadanek w kółku swoim, o rzeczach swoich! . . . Zimo polska! tak jak ciebie rozumiem, ty masz swoje cudne słońce, i swoją cudniejszą jeszcze poezyją! . . . Słońcem twojem jest gościnnie kominek z płonącymi w nim kłodami, których ciepło rozgrzewa ciało: a te iskry syczące i pryskające wzywają myśl twą na wyścigi, by się także roziskrzyła naszym marzeniem, naszym słowem; a jak w jednym tak w drugim zagra rozogniona wyobraźnia. Twoją poezyją zimo polska jest gawędka przy kominku płonącym, gawędka do której tkaniny mimowolnie przybiegają ci same barwy rodzinne. Przy takiej gawędce same dobywają się na wierzch pamiątki, których łańcuch dziwnie i kapryśnie pleciony od ogniwa najbliższego ci domu i rodziny przechodzi do coraz dalszych ogniw rzeczy publicznej i ojcystej; a między pierwszym i ostatnim ożywiony duch polskości gdyby iskra elektryczna przebiega tam i nazad! . . . Zapewne jak w kominie płomień prócz iskry i dym także wydaje, tak i na gawędkach naszych polskich, które nam nie bez słuszności zarzucają, rozbiegło się i zmarniało niemało uczucia i zapalu! . . . Ale kto zna dobrze nasze życie rodzinne w naszej biednej a kochanej Polsce, przyznać musi, że właśnie w tych gawędkach naszych kominkowych, czerpaliśmy niejedno polskie, co nam jeszcze ducha ożywia. Przy tem ognisku domowym—uderzmy się jeno młodszy i starsi pracownicy ojcystej myśli, czyliż nie nabraliśmy wiele i bardzo wiele tego zasobu wspomnień i marzeń, uczuć i postanowień, które nam w ciągu życia dają ten hart do walki nam potrzebny, którym zbrojni nie straszym się choć chwilowo osłabniemy, a nawet upadniemy, bo się silniejsi i krzepiejsi podniesiem znowu. Czy nie w tym kąciku rodzinnym opowiadał ci dziadek dzieje przeszłości.. czy nie od kominika przy wieczornym zmroku uniosłeś tę pieśń cudną, co ci matka luba zaśpiewała; pieśń to żywa, której słowa w naszej piersi nie przebrzmiewają nigdy, które zwrotki szczególne jakby temat życia całego,

ty sam przerabiasz czy słowem czy czynem? . . Tam slyszales modlitwy i nauki ojca, przyjaciela kapłana starego, które jak ziarna kielkują w twej piersi, i wyrosną w pień krzewisty tego przywiązania do kraju i ziemi ojczystej, które nam dotąd nie wyrwały najsprytniej wymyślane extyrpatory! Tam! . . Lecz już dosyć! . . by mi myśl przewodnicząca, z jaką gawędzić rozpocząłem nie uciekła! . .

### III.

I w ziemie przychodzi to święto tak wyłącznie nasze i polskie! święto Bożego narodzenia!.. Święto to obchodzą wszystkie narody! obchodzą uroczyście!.. ale nie ma serdeczniejszego i rzetelniejszego obchodu tych wielkich narodzin, jak w naszej Polsce.— Narodził się nam Bóg!.. powtarzamy z tak serdeczną żarliwością!.. dla tego właśnie może, że mimo mąk kalwaryjskich, Bóg nie umiera!.. Bóg zmartwychwstaje mimo swe wrogi!.. My się korzym i wierzym!.. i ta wiara jest nam wielką pociechą!..

Całe życie polskie rodzinne, patryarchalne, odzywa się najmocniej w ten dzień świąteczny. Łamanie się opłatkiem jest u nas prawdziwie łamanie się sercem między sobą!.. Przy opłatku stara przyjaźń silniej się rozrasta, zażyłość w mocniejsze zwiija się sploty; stare nawet właśnie milkną nieraz i rozlewają w słodkie łzy rozczulenienia!.. łańcuch braterstwa z rodziny wyciąga się coraz dalej w szersze koła powinowactwa i narodowości!..

To też ze wszystkich młodych pamiątek rodzinnego kółka, najtrwalsze niemal są, i najcudniejszemi w późniejszym nawet przesuwają się wieku, wspomnienia obchodów Bożego narodzenia po naszych dworach i chatach polskich.

Jaka radość w rodzinie całej, bo choć rozrzucona na szerszej przestrzeni, zjedzie się przy doskonałej sannej, do dziadka i babki by raz jeszcze ujrzeć te sędziwe oblicza, i podłożyć głowę pod błogostawiające dłonie!.. To starszych pociecha!.. a młodzi wnuczko-  
wie i wnuczki, ile to sobie roją najpiękniejszych nadziei o tych zdybaniach już z roku minionego pamiętnych, o których się rok

cały tak mile rozpamiętywało!.. A dla dzieci?.. to całe przecie święto dziecinne! święto Jezuska tak małego jak oni, któremu pastuszki i królowie dary znosili, i śpiewali mu kolędę sami aniołowie. To też i im starsi będą dary znosić; i wyobraznia dziecinna cieszy się i raduje już naprzód temi cudami wertepkowemi, które się będą przesuwac przed ich oczy zdziwione, przy głosie kolend, które pierwsze rozbudzają strunę poetyczną w dziecinnej głowie, za nią późniejsze piosnki w serce zaszczipią!

Ile to radości, ile to czystych uczuć, a serdecznych a rodzinnych przy śpiewie prawdziwie pastuszej prostoty, unosi się w ten wieczór święty po nad naszą ziemię!.. Gdyby tak ptakiem przelecieć po nad nasze stopy i jary, lasy i góry, po nad dwory i chaty nasze, jakizby się odkrył dla ducha wyższych pojęć i uczuć zdolnego — widok — uroczy tego obchodu, który cały naród od najwyższych do najniższych łączy solidarnością jednego obyczaju narodowego!.. To hasło: Bóg się narodził! było u nas zawsze hasłem narodowego braterstwa!.. mimo przeszkód nieprzyjaznych, żaden naród tak dobrze jak nasz nie rozumie, że narodzenie Boga to przyjsie na świat królestwa Bożego i braterstwa wzajemnego. To jest niezaprzeczenie nasza wiara i nasza siła!.. to godło podniesienia ducha! to posłannictwo nasze!..

I że takim było znaczenie tego obchodu w Polsce, mamy dowód najlepszy w cechach patryarchalnych, jakimi się obchód Bożego narodzenia u nas odznaczał zawsze. Nasi obmowcy plotą niestworzone rzeczy o naszej społeczności, jaka bywała dawniej; mówią jedni przez głupotę, bo nie znają ducha prawdziwego przeszłości naszej; drudzy przez złą wiarę, by umniejszyć wartość wyrządzonej krzywdy!..

Tymczasem było to u nas zwyczajem świętym, szczere bratanie się niejako z niższemi w ten dzień, dla wyjaśnienia prawdziwego znaczenia Bożych narodzin!.. To tak dalece było w zwyczaju, że nietylko pan z sługami swemi bliższemi obdzielał się opłatkiem, ale był powszechny obyczaj takiegoż samego obdzielania się opłatkiem

i jadłem między dziedzicami i wieśniakami. I to obdzielanie było wzajemne.

Sam jeszcze pamiętam, jak do dworu przynosili gospodarze ze wsi w miskach dary swoje, na jakie ich stać było. Był tam i kołacz, i opłatek, i kutia pszenna miodem przyprawiona, rybka choćby najmniejsza sownie przypieprzona. Tak samo i dziedzic rozsyłał do gospodarzy potrawy z własnego stołu!.. Były nawet nie rzadkie wypadki, że gospodarz znakomity, dziedzica na wiliję zaprosił z całą rodziną, i dziedzic zaprosin takich nigdy nie odmawiał.

#### IV.

Przypomina mi to z lat moich dziecińczych ciekawą ze wszech miar postać. Był nim Oleksa gajowy w miasteczku Xawerowie na głuchem Polesiu, w dzisiejszym powiecie Owruckim gdzie się rodziłem. Unikam opisu miejscowości tej memu sercu drogiej i tak pamiętnej, że dziś jeszcze zda mi się widzieć nie tylko dwór drewniany, i most dziurawy koniecznie na Polesiu, z tej samej przyczyny zapewne, dla której mówią, że szewe w dziurawych chodzi butach, i bożnicę dziwnej architektury, i kałużę przed nią i kapliczkę przy dworze, i cerkiewkę we wsi, i... uciekam od tego opisu, bo gdybym raz rozpoczął, już byście tak prędko kochani czytelnicy nie wyszli z Xawerowa.

Owoż to pamiętam jak razu jednego byliśmy wszyscy starsi i młodzi z dworu Xawerowskiego na wili w chacie Oleksy!— Przyjął też nas! przyjął!... prawdziwie czem chata bogata!... Choć byłem wtenczas tak małym dzieckiem, że inne szczegóły znane mi tylko z późniejszego opowiadania, ale to przecie umieściło się w mojej pamięci, że Oleksa trzymał mnie na kolanach, i dawał jeść tłuczone orzechy moczone w wonnym i białym miodzie, jakich już odtąd nie jadłem nigdy.

Trzeba bowiem wiedzieć, że byłem wielkim Oleksy ulubieńcem; była to spuścizna po moim ojcu, podobno jedna, która się została jednorocznej sierocie po nagłej stracie ojca. Miałem ojczyrna bardzo pocziwego, i rodzeństwa przyrodniego było całe błogosławieństwo,

ale Oleksa mnie tylko jednego wyszczególniał; matkę i ojczyma nazywał wielmożną panią i wielmożnym panem; dzieci zaś ich paniezami krótko, ale o ojcu moim i o mnie inaczej się wyrażał.

— To mój pan, albo mój nieboszczyk, mówił; a to mój panicz....

Nie raz przychodził do dworu, i zaraz swego panieza wyszukiwał, brał na ręce i ze wszystkich kieszeń dobywał jabłuszka najkrańsze i inne owoce lub wiejskie przysmaki. — Za co tak serdecznie zachowywał pamięć ojca mego, nigdy się nie mogłem dowiedzieć. Zdaje się, że w lesie ich przyjaźń się zawiązała. Oleksa był namiętnie przywiązany do lasów, po których z urzędu i z upodobania chodził, i później słyszałem go nieraz utyskującego nad niszczeniem lasu.

— Nie tak było za nieboszczyka mego! on kochał las i umiał go szanować.

To jego zamiłowanie w lesie, było w nim posunięte do najwyższego stopnia. Las Xawerowski był mu starym przyjacielem, z którym w zgodzie wiek cały przepędził. Znał — zda się — wszystkie w nim drzewa, a przynajmniej znał niezawodnie starsze drzewa wszystkie, ojce borów, dla których prócz przywiązania miał wyrażne poszanowanie! To też za każdym drzewem świętem płakał jakby za bratem, a bronił ich od siekiery jak mógł. Jak za skazanym na śmierć błagał nieraz u ojczyma mego za oszczędzeniem swoich przyjaciół. Próżne były wszakże prośby i lzy Oleksy. Był to czas wielkich lasowych spekulacyi, które poniszczyły bezlitośnie śliczne lasy poleskie. Przejeżdżali spekulanci i zakupywali sosny, jakich już dziś nie ma w Europie, a które rosły sobie jak najswobodniej na ziemi poleskiej. Kupowali je na maszty, i płacili dobrze. Ale cóż z tego. Stojącą sosnę nie można było poznać od razu, czy dość prosta, by się zdała na maszt; więc czasem święto dziesięć najpiękniejszych sosen, za nim jedna wszystkim warunkom odpowiadała. Na tak powalone rzucały się znowu potażarnie, których było pełno po lasach Owruckich, i obcinały tylko gałęzie i kory

obdzierały, a gołe drzewa gnily na takich zrębach bez pożytku jakby na wielkim grobowisku istne trupy niepochowane. I stary Oleksa rzeczywiście zręby te uważał jako cmentarze, i chodził do nich, by odwiedzać zmarłych swych przyjaciół, i tam starowina jak dziecko rzewnemi zalewał się łzami.

Czasem sztuką bronił swych przyjaciół, i właśnie jedna z tych sztuk nadaremnie użytych, jeżeli nie przyspieszyła jego śmierci, to się pewnie wiele do niej przyłożyła. Była w głębokim borze jedna sosna może największa na naszej ziemi. Wysoka, równa i gruba, nikła zda się w obłokach, a przynajmniej ledwie oko z tak bliska podniesione, mogło szczytu dopatrzeć. Bóg to biednemu Oleksie przebaczył znowu, ile on nakłamał przed ojczymem moim o bagnach trzęsawiskach które w tej stronie lasu miały się znajdować, aby dziedzicowi nie pokazać ukrytego skarbu. A gdy już nie mógł odwiedzinom przeszkodzić, sam zaczął obmawiać swą ukochaną Motrę! -- Tak bowiem nazwał tę sosnę na pamiątkę jednej żywej Motry, z którą inne łączyło się romantyczne i tragiczne zdarzenie, do którego zaraz przyjdę.

Nagadał więc, że Motra na wysokości swej, gdzie się rozchodziła prócz głównego pnia w kilka grubszych gałęzi, jest już spruchniała, że tam czerw dawno już swe gniazdo dzikie umieściło, i tym podobne rzeczy. Lecz biedna Motra nie uszła przeznaczenia swego. Dziedzic przekonał się czy sam czy przez kogo innego o fałszywej obmowie, i bez wiedzy Oleksy kazał ją ścinać. Tego samego dnia, tej samej chwili, jakby przecuciem rażony, choć niedomagał starowina, pobiegł do lasu, i zastał już Motrę leżącą pod rękami obrębującemi ją. Co też im naklął; aż włosy na głowie stawały! Uciekł z lasu, i już więcej doń nie wrócił. W kilka dni już nie żył.

## V.

Ja już wtenczas byłem starszy nieco. Jako student odwiedzałem właśnie matkę. Oleksa czując się bliskim śmierci, gdy się dowiedział o moim przyjeździe, chciał mnie widzieć koniecznie. Prócz poże-



gnania, chciał on mnie jeszcze obdarzyć tajemnicą skarbu, który się miał znajdować pod kaplicą. Skończyło się wszakże na dobrych chęciach, bo skarb ten snąć pierwaj już był zabrany. Snąć fortuna nie była w przeznaczeniu mojem! O tem zdarzeniu wspomniałem pokrótce w jednej z moich dawniejszych powieści. Obszerniejsze szczegóły, dosyć zresztą ciekawe, które by za nadto gawędę moją przeciągnęły, opowiem w pamiętnikach moich, które radbym napisać, i napiszę jeżeli będę miał kiedy w życiu tyle czasu wolnego, i wolnej myśli, i materyalnej niezawisłości.

Szczerze żałowałem Oleksę, i spłakałem się serdecznie na jego pogrzebie! Mając lat czternaście, lzy są jeszcze na podórzedniu, i łzami spłakać można nie jedno cierpienie. Na starość lzy nie spływają lekko, ale ciężko, roztopionym ołowiem padają na serce! Staręgo Oleksę kochałem jakby krewnego, wszakże on jeden rozpowiadał mi o nieznanym ojcu! Gdy byłem jeszcze chłopięciem, nieraz się wykradałem ze dworu do gajowej chaty. Stary Oleksa był mi rad zawsze, i nieraz wodził z sobą po ukochanym lesie. Nieraz nasłuchawszy się rozmaitych opowieści jego, zasnąłem mu na kolanach, i stary gajowy spiącego odniósł do dworu. A rozpowiadał z prostą wymową, i miał wiele do rozpowiadania. Prócz starych dziejów, jakie sam przeżył, lub się nasłuchał, posiadał niewyczerpane źródło rozmaitych podań bajecznych, których Polesie nasze posiada skarb najbogatszy. To też gdy sobie przypomnę starego Oleksę, przychodzi mi mimowolnie na myśl, ażali nie staremu gajowemu winien jestem pierwsze wieściarskie zarody!. To pewna, że do dnia dzisiejszego widok boru większego sprawia na mnie dziwne jakieś tęskne, powiedziałbym poetyczne usposobienie. Wszedłszy w las, robię się lepszy jak między ludźmi, i duch mój dobywa ostatki sił starych, by się raz jeszcze unieść na skrzydłach dawnych marzeń i młodszej wyobraźni!

## VI.

Wspomniałem wyżej, że w przeszłości Oleksy, prostego zresztą Polesiuka było jednę zdarzenie bardzo romantyczne. Łączyło

się ono z innem wielce tragicznem zdarzeniem, które swego czasu wielki miało rozgłos w tamtejszych okolicach. Dawne to dzieje!.. ale gdy na dworze dmie zawierucha a ogień na kominku bucha, najlepiej się udaje gawędka o starych dziejach. Opowiem więc Państwu to zdarzenie, jak je od zacnego Oleksy i od innych słyszałem.

Oleksa był rodem z Xawerowa, tam miał chatę własną. Jeszcze żył ojciec jego. Oleksie zachciało się trochę świata zwidzieć. Lat kilka wałęsał się, i aż na Zaporozże zachodził, pamiętam przynajmniej, że mnie małemu, z onej epoki życia swego różnobarwne snuł obrazki, a jeszcze barwniejsze spiewał dumki cudnej melodyi! W jakimś podobno futorze zajrzał dziewczynę czarnookę o białem liczku i zakochał się w niej. Dziewczyna była uboga i poszła w służbę do dworu państwa Teleżyńskich, którzy mieli dobra na Polesiu i na Ukrainie, więc i Oleksa poszedł do nich w służbę. Motra była piękna ale i zalotna. Oleksa chętnie ją bronił, chociaż nie mało się przez nią przecierpiał.

— Dobre miała serce! mawiał nieraz z westchnieniem, ale jakieś nieszczęśliwe padły na nią uroki! i ona odtąd jak dziecko sama nie wiedziała czego chceć i czego pragnąć! To się śmiała, skakała i tańcowała, to znowu sama jedna chodziła, a zawodziła tak żałośnie, że się aż serce krajało.

Były tam uroki! kończył Oleksa to zdanie swoje o Motrze, ale tam i przecucie! Biedne dziecko widziało nieraz swojemi oczami, co ją czeka!

Oleksa kochał dziewczynę, i całym swem sercem gadał. Były chwile, w których dziewczyna rada go słuchała, i ze łzami rozczulenia patrzyła na rozkochanego młodzieńca, który chciał ją do swojej chaty zawieść.

— Ale nie było już przeznaczenia! mówił Oleksa wzdychając.

Już przystawała prawie i państwo Teleżyńscy nie mieli naprzeciw temu, bo Oleksę mocno polubiwszy, nie chcieli mu szczęścia zagrażać. Ale znowu ją coś napadło, i wykręciwszy się dzi-

wnie jak fryga, bijąc w obcasy złotych butów, klaskała jak szalona w dłonie.

— Jeszcze czas! jeszcze czas! wołała! Ty mnie chcesz już zakopać żywcem! niech jeszcze trochę pohulam na tym pięknym świecie. Zostawcie mnie Olekso jeszcze wolną! krzyczała pieszczotnym blaganiem.

Żeby to tylko szło o odwłokę, nie by może nie miał przeciw temu Oleksa. Ale jeszcze dopiekało co innego! Oleksa był zazdrośny. Na dworze państwa Teleżyńskich ludzi możnych, był Mykitka strzelec, wielki pana faworyt, bo strzelał doskonale, i umiał się podchlebiać! Był to jakiś zawoloka, podobno coś z moskiewskiego kraju, któremu źle jakoś z oczów patrzyło. Nie był on ładny, ale praworny, umiał dobrze językiem mleć; a takie dziwa rozpowiadał, że go wszyscy słuchali dech w sobie zapierając. Biedna Motra w takich razach oka nie spuściła z niego. A jak zaczął wyśpiewywać dzikim i przeciągłym głosem jakieś czumackie pieśni, dziewczka była jakby zaczarowana. O tego Mykitkę był Oleksa zazdrośny, i jak się zdaje nie bez słusznego powodu.

— Czy go kochasz? — mówił nieraz do niej Oleksa.

— Nie! odpowiadała Motra z rzewną szczerością! Jeżeli kocham, to ciebie tylko! ale on ma takie oczy, że ciągną gwałtem za sobą! one by zaciągnęły w przepaść! do bystrej rzeki! one mnie biedną sierotę zaciągną w śmierć!

Tak stały rzeczy, gdy państwo Teleżyńscy, którzy ciągle mieszkali na Polesiu, postanowili odwiedzić dobra ukraińskie, aby się przekonać o spustoszeniach, jakie tam zaszły. Było to bowiem niedługo po tej onej nieszczęsnej hajdamaczyźnie, która tyle krwi przelała na Ukrainie zaspawszy ją gruzami.

Jak się zdaje, pan Teleżyński był trochę dziwak, co się trafiało w onych czasach u naszej szlachty.

— Dobrze duryty, koły przystupaje! przytaczał Oleksa mówiąc o panu Teleżyńskim.



I przysłowie to można podobno zastosować nie do jednego szlachcica polskiego, w czasie tych szalonych zapust narodowych.

Zabrał tedy kasę w ogromnej skrzyni żelaznej, wpakował do wielkiej bryczki, którą ledwie cztery konie mogły uciągnąć. Sam z żoną zasiadł do bryczki, a za nią wlokła się kolasa ogromna z samemi niewiastami. Prócz dziewczek, furmanów, z których jeden, co powoził w bryczce, Seńko był już dawno w służbie u pana Teleżyńskiego i miał wielkie u niego łaski, a dosyć młody jeszcze i trochę głupkowaty chłopak poleski, nie było tylko dwóch jeszcze mężczyzn, którzy jechali wierzchem w eskorcie; Oleksa i Mykitka. Chociaż dwór pana Teleżyńskiego był liczny, nie chciał brać z sobą więcej ludzi, bo jak się tłumaczył przed Oleksą, który mu w tej mierze robił uwagę, że dla bezpieczeństwa może by silniejszą brać świtę.

— Bratku kochanku! taka podróż z tylu ludźmi, wiele bardzo kosztuje. Nie głupim bratku kochanku.

Ależ w takim razie po co kasę zabierał z sobą? Tak się podobalo panu i kwita!.. Lubił mieć kasę zawsze przed oczami.

— Mam na to pieniądze bratku kochanku!.. abym je miał przy sobie!..

W kolasie zaś siedziały jak mówiłem same niewiasty. Dwie córeczek po trzynaście do czternastu lat państwa Teleżyńskich; jakaś uboga i daleka krewna pani Teleżyńskiej i dwie sierotki biedne, wychowane przez tę panię wielkiego i szlachetnego serca. Najstarsza między niemi kuzynka miała ledwie lat szesnaście, a wszystkie były śliczne jak prawdziwe aniołki. Za kolasą na tłumoku olbrzymiej objętości siedziała piękna czarnooka Motra.

## VII.

Podróż szła powoli ale szczęśliwie, bez najmniejszego wypadku.

— A przecież! mówił Oleksa, coś mi ścisnęło w piersiach, i jakby mi ciągle do ucha jakieś dziwne i złe szeptały głosy.



Motra natomiast śmiała się ciągle i rychotała.

— Ale ten jej śmiech był nie naturalny! opowiadał Oleksa; w jej śmiechu było jakieś szlochanie. I w drodze ciągle chciała rozmawiać; najczęściej przywoływała Mykitkę, i chciała z nim pustować. Ale Mykitka, choć dobrze uważałem, jak jej parę razy coś szepnął do ucha, na co ona odpowiadała jeszcze dzikszym śmiechem — rzadko przy niej jechał, trzymając się raczej pańskiej bryki!

— A cóż Mykitko! bratku kochanku, mówił żartobliwie pan Teleżyński, niema hajdamaków!

— Niechby przyszli! odpowiadał Mykitka z przechwałkami, to- bym ich na kapustę porąbał, nim by się dostali do pańskiej skrzyni żelaznej.

Śmiał się pan Teleżyński i pani Teleżyńska się śmiała. Nie przerwali wcale, jak prędko a niespodzianie przerwie się ten śmiech.

— Ja tego łotra Mykitkę, opowiadał dalej Oleksa, nigdy znosić nie mogłem, i niewiem dla czego nie spuszczałem oka z jego wejścia trochę zyzowatego. Ale po prawdzie niezegom się nie dopatrzył. Ciągle prawie jeżeli nie przed siebie, to patrzył na żelazną skrzynię. Senko drzemał na koźle, czasem tylko rzucał okiem po za siebie; i razu jednego zdało mi się widzieć, że jego oczy i oczy Mykitki zdybały się na żelaznym kufrze. Była to jedna tylko błyskawica, ale ja niewiedzieć dla czego zadrzałem cały.

— Dojechaliśmy szczęśliwie do pańskich dóbr Ukraińskich: Pan Teleżyński niechciał wjechać do głównego swego siedliska, które było w miasteczku warowniejszem przecie, w tak zwanej gubernii, które było rodzajem zameczka.

— Tam są moskale mówił pan do mnie!

— Ale mnie się wydaje, że pan niechciał zajechać do miasteczka nie dla moskali, ale gości nie rad był widzieć w domu; bo już to nieboszczyk Teleżyński, świeć Boże nad jego duszą, był trochę skąpy.

Dosyć że zamiast do swojej stolicy, zajechał do jednej z wiosek swoich, gdzie był stary już dawno nie zamieszkały dwór, który

stał na osobności. Dwór ten był na małym wywyższeniu. Folwark ekonomiczny i inne budynki gospodarskie były znacznie niżej, oddzielone od starego dworu sadem niewielkim i kilkoma ogromnymi lipami.

Państwo Teleżyńscy roztasowali się jak mogli w starym dworze. Mykitka, który w razie potrzeby był i kucharzem, zabrał się do gotowania na folwarku, bo na dworze nie było nawet kuchni porządnej. Po jednej tylko stronie dworu były trzy izby mieszkalne, z jednym tylko wejściem i wychodem razem przez sień. Pierwsza izba była tedy i jadalnia i bawialnia, i garderoba razem, drugą izbę przeznaczyli na sypialnię, a w trzeciej ostatniej, z której małe tylko okienko wychodziło na pusty dziedzińczyk, rozłożyły się panienki. W sypialni złożono dwa tapczany; zawieszono nad nimi przywiezione makaty; to były, łóżka państwa Teleżyńskich. Przy łóżku stała skrzynia żelazna, a na niej dwa pistolety ostro nabite, które pan Teleżyński miał zawsze przy sobie, krucyfiks srebrny z relikwiarzykiem na spodzie, który nieodstępował pani Teleżyńskiej i wielka czarno oprawna biblia, z której oboje przed usnięciem zwyczajnie czytali i najczęściej sama imość czytała, a jegomość powtarzał po cichu słowa i nagle zasypiał, co zaraz poznać można było po niesłychanym chrapaniu. My zaś wszyscy mężczyźni z końmi, mieliśmy nocować na folwarku, który jak mówilem, był tak daleko od dworu, że dobrego trzeba było głosu, aby dać się słyszeć.

— Przed wieczorem zawołał mnie jegomość, ciągnął Oleksa swe opowiadanie, i kazał mi zaraz jechać z listem do pańskiej stolicy, odległej o tęgiś dwie mil. List miałem oddać do pańskiego gubernatora, który tam rezydował. Był to list powołujący go z rachunkami do pana.

— List oddasz!.. powiesz bratku kochanku panu Sabatynowi, aby jutro przyjechał jak najraniej.

— A sam możesz i zaraz wracać, dodała z uśmiechem pani Teleżyńska, która wiedziała dobrze o mojej miłości i zazdrości. Bo widzę mu z twarzy, że mu ta jazda wcale nie na rękę.



26724 Kor

— I w rzeczy samej coś mnie jakby szturknęło w piersiach; ale w tym razie nie z miłości, ani z zazdrości, ale tak Bóg wie dla czego. To też widząc, że państwo w dobrym humorze, wyrwałem się ot tak bez zastanowienia.

— Możeby Mykitka!

— Zapewne, że Mykitka mógłby, zagadnęła imość.

— Niech jej Bóg da niebo! i ona coś przeczuwała, i nieby w tem nie było dziwnego, bo to był prawdziwy anioł na tej ziemi.

— Co też mówisz moja panno? (bo tak zwykł był żonę nazywać pan Teleżyński). Mykitko musi w domu zostać! on jest silniejszy bratku kochanku, w razie niebezpieczeństwa, to on nas obroni.

— Imość na te słowa. przeżegnała się, i ustami modlitewkę poszeptala.

— Wracaj prędko! jeszcze mi powiedziała.

— Przededniem wróć, odpowiedziałem, skłoniłem się państwu i wyszedłem, i już . . . ! Ale słuchajcie dalej. We drzwiach na progu stała Motra, przewijając swoje kosy, a śliczne miała kosy, aż po same kostki. Gdy ją zobaczyłem, jeszcze mi się przykrzej zrobiło, i nie mogłem wytrzymać, aby przed Motrą niewypowiedzieć jaki dziwny lęk mnie porywa. Motra naśmiała się ze mnie, ale ten jej śmiech zdawał mi się straszny; tak się czasem śmieje w nocy puszczyk, gdy z pustej wygląda wieży. Oczy się jej iskrzyły jakimś ogniem jak prysk gorejącym, ale w tych iskrach były łzy także.

— Ty się o mnie boisz pocziwy Olekso! przemówiła do mnie, trochę żartami a trochę z żalonym uczuciem.

— I zdało mi się, że w jej oku widzę jakiś żal nademną.

— Bo cię kocham nad wszystko, odpowiedziałem jej; i wołałbym życie stracić, niż ciebie.

— Ja wiem, że ty mnie kochasz, bo ty dobry, ona znowu na to. Ale nie bój się, ha! co się stanie, to się stanie.

— Sam niewiedziałem, co mam powiedzieć, bo niewiedziałem co mi jest. I popatrzyłem przypadkiem na drzwi wchodowe. Były to silne drzwi dębowe gwoździami nabijane; a przy nich stały dwa żelazne drażki, które się wsuwały końcami do ściany, i zatarasowały drzwi.

— Jak zasuniesz te drażki, rzekłem bez myśli, to i dziesięciu ludzi nie dostanie się do domu; a okna mają także kraty!

— Cóż ty sobie myślisz? krzyknęła opryskliwie Motra, i dziwnym okiem popatrzyła na mnie.

— W tej chwili wstrząsnęłam się cały. Jak to mówią śmierć mi zajrzała w oczy. Oj śmierć! ale nie mnie!

Mykitka nie może ci z głowy wyleść, dodała Motra, przedrzyniając mi, i wskazując drzwi, znowu się zaśmiała śmiechem przerażliwym. No jedź już! jedź!... i...

— I cóż? spytałem, bo wyraźnie widziałem w jej oczach, że coś jeszcze miała na języku.

— I nie! ot tak sobie, powiedziała mi na to i rękę mi uściśnęła na pożegnanie. — Odszedłem, schodząc z góry obejrzałem się; ona była jeszcze przy drzwiach, kosą pociągnęła po oczach, jakby je ocierała, i wbiegła do izby.

## IX.

Oleksa spieszył się jak mógł. Cztery mile przeleciał szybkim lotem tegiego konia ukraińskiego. Już się w gubernii wszyscy spać pokładli; Oleksa obudził pana Sabatyna, oddał mu list, i tyle się tylko zatrzymał, ile było czasu potrzeba, aby koniowi wytechnąć i nakarmić go. I pomknął nazad; koń jakby go rozumiał, leciał cwałem nazad. Lecz im prędzej gonił, tem stawał się niespokojniejszym Oleksa. Co się z nim działo, on sam nie wiedział, ale zdało mu się nieraz, jakby jakieś dziwne głosy słyssał wołające na niego. Droga prowadziła stepem; na całej równinie ni pagórka, ni drzewa! po bokach tylko szeleściły kłosami dościgającymi bujne zboża, a z dala od oczeretów dolatywały go tylko czasami jakieś



smętne wodnych ptaków głosy. Oleksa oko i ucho miał nateżone, bo zdawało mu się koniecznie, że on coś dziwnego zobaczy lub usłyszy.

— Koń nie parsknął ani razu, zauważał Oleksa, uważając to wedle ludowego mniemania za złą wróżbę.

Ale koń nie miał czasu parskać, bo pędził a pędził, i tylko ziemia tętniła pod nim. Już był kawał drogi ujechał, kiedy nagle wśród najgłębszej cichości zdało mu się, że gdzieś z daleka doszedł go jakiś głos niewyraźny, ale przytem tak okropnie żałośny, że mu włosy na głowie stanęły.

— Czy był to głos prawdziwy, czy to gdzieś we mnie coś się ozwało? czy to był głos żywy czy umarły? nie wiem; powiadał Oleksa, ale to wiem, że w tym momencie byłem pewny, że się coś okropnego stało. I koniowi memu coś się także przywidzieć musiało, bo się strząsał cały, uszyma nastrzygł i chrapnął niespokojny. Przelatywałem wtenczas właśnie koło krzyża na drodze rozstajnej, gdzie przed laty znaleźli jakiegoś szlachcica obdartego, a tak okropnie poranionego, że by go nawet rodzona matka nie była poznała. Podniosłem rękę do czapki, ale mi ręka opadła bezwładnie, bo z krzyża zleciało coś czarnego, i ogromnem skrzydłem po czapce uderzyło. Już mnie wtenczas przytomność prawie odeszła; spinałem konia, koń leciał ptakiem ale i to było mi za pomału; biłem pletnią konia bez litości; koń tylko zwrócił głowę ku mnie, i tak smutno spojrzął ku mnie, jakby mi chciał powiedzieć: „Darmo mnie bijesz, darmo się spieszysz, nie to już nie pomoże!” Ale wyciągał się mój biedny wrony, co mu sił starczyło, robił bokami i jęczał jakby człowiek, ale sadził i sadził prawdziwym ptakiem.

Już dzień poczynało, gdy się Oleksa zbliżał do Majdanku — tak się zwała wioska, do której przyjechali państwo Teleżyńscy. Bystrem okiem zajrzał Oleksa wierzchołki lip starych. Nateżył ucho, cicho było; tylko własne mu serce biło gwałtownie po piersi, i w biednego wronego piersiach, jakby coś stękało.

Już dojeżdżał, gdy zdało mu się słyszeć dzwonienie. Zatrzymał konia, i chwilę stał na miejscu, by lepiej usłyszeć. I w rzeczy samej dobiegał go głos dzwona z początku pojedynczy, potem zawtórowały mu drugie dzwony. Trudno się było pomylić, to cerkiewne dzwony w Majdanku na gwałt dzwonią. Łatwo zrozumieć, co się w tej chwili działo z biednym Oleksą. I puścił się znowu naprzód. Już było niedaleko, na bielejącem od wschodzącej zorzy niebie, widział już wyraźnie porozrzucane chaty chłopskie. Jeszcze był jeden jar do przebycia, który trzeba było objeżdżać kawał drogi, i zjechawszy w dół, znowu się drapać pod górę. Koń biedny jakby rozumiał uczucia swego pana, zwrócił nagle w przeciwną stronę, nadleciał nad jedno miejsce, w którym jar był najwęższy, choć tyle przecie szeroki, że nikomu na myśl nie przyszło nigdy próbować szalonego przeskoku; w głębi bowiem kilkunastosiężniowej była przepaść najeżona skałami. Ale wrony niezważając na to wyciągnął się, skurczył, i jednym susem przeskoczył jar przepaścisty. Ale też to było ostatnie jego natężenie. Przesadził przepaść, osadził się na miejscu, zatrząsł się, slaniał chwilę, i padł na ziemię z takim stęknieniem, jakby pochodziło od konającego człowieka. I już był nieżywy! Oleksa nie obejrzał się nawet za wrouym towarzyszem swoim; on patrzył naprzód, i naprzód gonił i okiem i myślą i sercem, i nogami. Przebiegł co prędzej te kilkadziesiąt kroków, które go jeszcze dzieliły od wioski. Jeszcze tylko przez wioskę, przez stawisko, i do góry do starego dworu. Dwór już było widać. Cicho w nim było; zorza odbijała się czerwono w oknach pozamykanych.

Jużby się był chętnie Oleksa zaspokoił na widok tego zupełnego spokoju, gdyby nie to dzwonienie na gwałt z cerkwi, co nie ustawało ani chwili. Ludzie zastraszeni, myśląc, że się pali, wybiegali z chat, i jedni pytali drugich, co by to miało znaczyć?.. Z daleka odzywały się jakieś okrzyki gwarliwe, a po nad nie wznosił się głos silniejszy nad inne, który się zdawał coś wykrzykiwać.

Oleksie zdało się, że to głos Mykitki, i biegnąc dalej zasłyszal wyraźnie jedno tylko słowo kilkakroć powtórzone:

Hajdamaki! Hajdamaki!

Biegł dalej, między karezmą a cerkwią widział tłum zbiegających się chłopów, i między niemi poznał już na prawdę Mykitkę, który coś żywo rękami rozkładał, jakby co opowiadał. Lecz Oleksa nie zwrócił się do tłumu; on biegał do dworu prosto. Z początku wbiegłszy na dziedziniec spokojny jak zawsze, nie nie ujrzał takiego, coby jego uwagę zwrócić mogło. Dopiero gdy rzucił oczy ku drzwiom wchodowym, które stały na oścież otwarte — oczymu słupem stanęły — i ujrzał!..

## X.

Rzecz to dziwna, jak silne wrażenie wywierało zawsze na Oleksie, gdy w opowiadaniu przyszedł do tej chwili. Od tego czasu lat kilkadziesiąt minęło, gdy poznałem Oleksę; był to już człowiek stary, a przecież w tem miejscu twarz jego ożywiała się jakby dawną młodością, oczy mu się iskrzyły, a wyraz twarzy był tak okropny, taką namiętnością pokrzywiony, że bez zadrzenia nie można było patrzeć na niego. Patrząc na tę twarz, będąc chłopcem i młodzieńcem, przeczuwałem i zacząłem pojmovać znaczenie owych wielkich tragicznych życia ludzkiego chwil.

Spojrzał więc na drzwi na oścież otwarte, ujrzał coś białego w cieniu jeszcze zaciemnionym o tej godzinie. Oko z razu nie poznało, ale serce już mu powiedziało wszystko. Jak dzikie zwierze skoczył i z krzykiem przeraźliwym legł przy trupie Motry leżącej w kaluży krwi. Tu nad skronią była ciężka rana; krew przysechnięta czerwonymi smugami wplotła się w czarne warkocze; oczy były rozwarte, ale choć szklane już, wyraz z nich patrzył przerażenia okropny, w ostatniej chwili do biednego trupa przymarły.

Już była zimna. Tylko gdy rękę przyłożył do piersi, zdało się Oleksie, że jeszcze letne jest to miejsce, w którym biło to dziewczęce serce tak żywe, kapryśne i niespokojne.

Oleksa był prostym chłopem; nie był romantycznym bohaterem, więc nie jęczał, nie krzyczał, ale równemi nogami się zerwał po chwili. Chciał wiedzieć wszystko; chciał się mścić za swoją ukochaną dziewczkę. Drzwi w pierwszym pokoju były otwarte; łoże Motry na ziemi zrobione, było nieruszone. I drugie drzwi były otwarte. I coś się tak na dworze rozwidniło, że ujrzał od razu całą okropność sceny, jaka się mu przedstawiła.

Na tapczanach leżeli oboje Teleżyńscy nieżywi. Położenie trupów, mianowicie samej pani Teleżyńskiej, i poprzewracana pościel i inne sprzęty, dowodziły, że walka musiała być zacięta. Sam Teleżyński musiał być od razu przygłuszony uderzeniem w głowę, na której wyszczerzała się rana ogromna, a niżej koło skroni gula sina pochodząca widocznie od uderzenia tępym narzędziem. Ale walka pani Teleżyńskiej musiała być dłuższa, znać to było po jej oczach rozwartych, krwią zaszyłych, do których śmiercią skrzepły przylgnał wyraz silnego roznamiętnienia. Uwagi te poczynił Oleksa nie zaraz w pierwszej chwili, bo on wbiegłszy do izby, gdy ujrzał leżących, przybiegł do nich, lecz przekonawszy się, że już nie żyją, ledwie tyle miał czasu i uwagi, by ujrzeć kufer żelazny rozbity, i z pieniędzy wypróżniony. Nie zatrzymując się dłużej, wbiegł do ostatniej izby. Może przecie dziewczęta żyją?

Łóżka dziewczynek ledwie były poruszone; i one leżały na pozór spokojnie, jakby spały. Głównki wszystkie były pochowane pod poduszki. Snać biedaczki w chwili przestachu, innego nie umiały użyć środka, jak pochować swe głowy. Biedne niewinne dziewczętka spały zaiste, ale snem bez obudzenia. Przy każdym łóżeczku na pościeli i na ziemi czerwieńla się krew i leżało w spokoju obok siebie cztery trupy.

— Gdzież piąta?.. obejrzał się co prędzej Oleksa. Spojrzał na twarze pomordowanych; brakowało owej najstarszej między niemi krewniaczki pani Teleżyńskiej, którą Oleksa lubował przed innemi, bo to dziecko jakby aniołek, dla Motry było prawdziwym aniołem, i słowem pieściotnem i radą serdeczną, i łzą nawet okazywało uczucie,

gdy jej Motra rozpowiadała swoje jakieś dziwne zawsze burzliwe usposobienie.

Gdzież ona była?... może przecież wyratowana?... I od niej może będzie się można dowiedzieć, na kim pomsty szukać trzeba! pomyślał sobie zaraz Oleksa. Ogląda się! okienko otwarte, to jedno okienko bez krat, ale tak ciasne, że chyba ledwie to szczupłe dziewczę mogło się przezeń wysunąć. Spojrzał przez okno. Na trawą zarosłym dziedzińcu, z pomiędzy wysokiego zielska coś mu mocno zabielało. Wybiegł co prędzej, odwróciwszy się przy drzwiach, by trupa Motry nie widzieć. Przybiega, w ziele na dziedzińcu o kilka kroków od studni, przy której mimochodem widział nieco wody rozlanej, poczerwienionej jakby krwią — leżała biedna krewniaczka pani Teleżyńskiej w koszulce krwią okropnie zbroczonej. Niestety i ona była już trupem, miała kilka ran jakby dawniejszych nieco, na których krew zupełnie skrzepla; ale największa i zapewne najpóźniejszą była rana na szyi, z której jeszcze sączyło się leniwie kilka kropel stygnącej krwi. Zimna już była i sztywna, a rączki białe miała złożone zupełnie jak do modlitwy lub błagania.

Prędzej zapewne niż to zdołałem opisać, Oleksa obejrzał wszystko, bo jak mi opowiadał, że gdy się o wszystkim dowiedział i stał odurzony na dziedzińcu przy trupie dziewczynki, jeszcze się zupełnie nie wyjaśniło; dzwony wciąż dzwoniły, i słychać było krzyki i nawoływania zastraszonych chłopów. W pierwszej chwili nie mógł Oleksa żadnej całej myśli w głowie ułożyć. Coś mu się snuło, coś mu się składało w głowie, ale wszystko pomieszane i nie wyraźne. Instynktem prawie pobiegł ku wsi w stronę, gdzie było słychać głosy, bo za tętnieniem dzwonów ozwały mu się w pamięci krzyki o hajdamakach. Gdy się zbliżał do najliczniejszego grona gwałtownie radzących chłopów, ujrzał Mykitkę mowę, który ciągle jeszcze gwałtownymi przemawiał ruchami. W tej chwili zaczęło się Oleksie porządkować w głowie, i jakieś tajemne posuwało go posądzenie zwrócone do Mykitki, którego nie lubił, i któremu nigdy nie ufał.

Było to coś mimowolnego i instynktowego.

owik — A ja w to nie wierzyłem zawsze! dodawał Oleksa, bo ileż to razy, zanim usłyszałem szelest w trawie, przeczuwałem bliskość gadziny po trawie przemykającej.

XI.

I Mykitka zobaczył Oleksę. Ledwie go ujrzał, zostawiwszy chłopów przyskoczył do niego i tak nagle, a obcesowo rzucił się mu na szyję i jał go ścisnąć i całować z takim płaczem i narzekaniem, że zmiętkło pocziwe serce Oleksy na widok takiej rozpaczki Mykitki powtarzającego załośnie:

— Nie ma już mego dobrego pana! niema moich dobrych państwa!...

A gdy dodał jeszcze:

— Ty Olekso byłeś zawsze zazdrośny o mnie! ale bodajbyś dawno był wziął Motrę do domu, niż żeby ją moje oczy nie żywą na ziemi rozciągniętą zobaczyły.

Żal mu się zrobiło Mykitki, i całe posądzenie znikło bez wieści. Mykitka miał na prawdę oczy pełne łez. Mimowoli rzucił jeszcze Oleksa przelotny ale badawczy wzrok na jego suknie, które miał te same, co zawsze, ale nie na nich widać nie było; ani znaku walki, ani krwi kropli. I jał mu dopiero z jękiem i zadziwieniem opowiadać, jak on z Seńkiem spał w stajni przy koniach najspokojniej:

— A gdzież Seńko? zawołał nagle Oleksa.

— Jak zobaczyłem całe nieszczęście, odpowiedział Mykitka, posłałem go zaraz na najlepszym koniu do miasteczka, po urząd, żeby zjechał, i żeby tamtejszej komendzie doniósł, aby rozesała po goń za temi rabusiami, hajdamakami, którzy gdzieś szeszeli bez wieści. Ale muszą się znaleźć!... i ja nie umrę spokojny, jeżeli się cała rzecz nie wyjaśni, i mój biedny pan nie będzie pomszczony.

To mówiąc ciągle ocierał łzy, co mu kapaly z oczów, jakąś szmatką czy chustką, którą trzymał w jednej ręce. I opowiadał dalej, że nie mogąc już dłużej spać, nadedniem wyszedł na dzie-

dzinie. Wszystko było spokojne, wziąłem konew i poszedłem po wodę do studni, i tam ujrzałem biedną panienkę. Pobiegłem do domu i ujrzałem wszystko.

— A zkadże ci na myśl przyszło, że to byli jacyś hajdamacy? zapytał Oleksa.

— A któżby inny był! prosię ciebie! Już też ani ty, ani ja, ani Senko!.. tylko musieli być jakieś rabusie, które się włóczą po kraju, a którzy nas może podejrzeli, gdyśmy jechali z Polesia, wioząc kasę za sobą! A to już jakieś przeznaczenie, że panu przyszło na myśl, wozić taką skrzynię z sobą, która wszystkich oczy zwracała na siebie.

Było wszelkie prawdopodobieństwo za zdaniem Mykitki.

— Chodźmy chyba, ta ulóżmy nasze państwo, jak się przynależy nieboszczykom; niech tak nie leżą porozbierani, powaleni!.. mówił Mykitka, ale Oleksa się sprzeciwił słuszną robiąc uwagę, że trzeba wszystko tak zostawić, jak było, aż poprzyjeżdżają panowie z urzędu.

Nie bardzo długo trzeba było na nich czekać. Jak mówiliśmy w bliskich miasteczkach stali moskale, i urzędowali w kraju, jak u siebie. Jak się dowiedzieli o okropnem morderstwie, starannie się tem zajęli i co prędzej zebrałi się w podróż i cywilni urzędnicy i wojskowi. O pogoni za hajdamakami nie było mowy nawet.

— Gonić za wiatrem! powiedział pan sztabskipitan moskal, wsio durne niemi rodom, popijając co prędzej czaj gorący.

— Wot'snam! co prędzej trzeba zjechać na miejsce! zawołał zasidatel z ogromnym gilem na nosie. Trzeba wszystko dobrze posmotryt i sprawku zdiełat.

Charaszo! odpowiedzieli drudzy, i wielu się ich tylko zebrać mogło na ogromny wóz chłopski i sześciu sprzężonem koni chłopskimi — krzycząc: stupaj! polecieli do Majdanku.

To moskalom było najpilniejsze, by się przekonac, azali tam przecie nie zostawili co jeszcze rabusniki, co by można urzędownie zwarawat'.

XII  
I zlecieli się do dworu majdanieckiego jak kruki. Na trupów ledwie popatrzyli.

— Pomierli! powiedział jeden i drugi przy każdym trupie. Przy dziewczątkach zatrzymali się dłużej, chwając ich piękność, przy czem praporszczyk syn bogatego kupca z Mikołajewa palnął kilka żartów niekoniecznie przyzwoitych.

— Szkoda!... takie młode! — Jej Bohu prekrasne szkoda, że nie żywe!... dodał pop brodaty, co także na posmotr z komisją przyjechał.

Przy trupie Motry uwagi były jeszcze mniej przyzwoite.

Mykitka chciał podczas tego, swoich państwa przyzwoić i porządek zrobić, i świece pozapalać.

— To wsio nie zda się na nie!... powiedział zasidatel z gilem na nosie. Wy pójdziecie z nami, czto by zaraz spisać cały posmotr.

— Chodźmy! przerwał znowu mały chirurg wojskowy z wielkim brzuchem. Stierwo zawsze stierwem!. Trzeba wypić stakanczyk!..

Ta uwaga ostatnia trafiła do przekonania całej komisji, która się zaraz wyniosła. Pan zasidatel wszakże pomówiwszy z panem sztabskapitanem, jako główne osoby komisji, słów parę poufnych, nie omieszkiał kazać zabrać za sobą, co tylko było do zabrania.

— To wsio do śledztwa potrzebne! rzekł z powagą.

Więc zabrali i dywany i pistolety, które leżały na ziemi, i srebrne dwa lichtarze porzucone także na ziemię i makaty ze ściągami, i szkatułeczkę z preciozami, co była pod poduszką u pani Teleżyńskiej i wszystkie suknie i sukienki, przy której to ostatniej operacji pan zasidatel podnosząc bajdawery nieboszczyka, domacał się sakiewki i zgrabnie ją z kieszeni obcej wpuścił do własnej.

Przyszedłszy na felwark...

— Jeść i pić! ale najprzód pić! zawołał na podstarościego Wódki! czaju, wina! dawaj!... kwaśnych ogórków!



Z komisją, żeby się długo nią nie nudzić, rychło bardzo skończyli. Piszczykowi, którego zabrali z sobą, kazali spisać raport, że hajdamaki napadli na dwór, zabili tyle i tyle dusz mężczyzn i żeńskich, między nimi dworanina pomieszczyka i jego żonę i zabrali wszystko co było, tak, że zostały gołe ściany i gołe trupy. Napisali, podpisali, zasypali piaskiem i pieczęć urzędową przyłożyli. Na osobnym papierze zrachowali koszta śledztwa na każdą osobę tyle a tyle, co razem wyniosło trzy tysiące osmset sorok i jeden rublów i dwadzieścia cztery kopijek, a które miały być wygwałtowane z dóbr nieboszczyka, z osobnem dodatkowem wynagrodzeniem guberskiej Palaty, która tę piękną likwidację miała potwierdzić.

Zrzuciwszy z głowy to wielkie dzieło, zasiedli do jadła i do pełnych stakanów. Samowar kipiał niezgaszonym ogniem, a moskale pili niezgaszonym pragnieniem, z wielkiej przyjaźni kpając się nawzajem temi wszystkimi słowami, w które najbogatszy w świecie jest słownik moskiewski. A w bardzo dobrym byli humorze, bo już się byli porozdzielali fantami nieboszczyka, okpiwszy wszakże chirurga i popa, którzy się najprzód popili, a piszczykowi dawszy odezpeznego dwie sukienki po sierotkach i dopłaciwszy na znak bojnej wspaniałomyślności z własnej kieszeni po pięćdziesiąt groszy na tabakę zieloną, której biedny piszczyk był namiętym lubownikiem.

A w dobrym byli bardzo humorze, bo się im Mykitka nadzwyczaj podobał. Podochociwszy sobie, idąc zapewne za przysłowiem: „na frasunek dobry trunek!“ zaczął moskałom dogadywać różne najtłustsze anegdoty, dodając do nich przysmaczki moskiewskie. Jak to mówią, swój swego poznał, i mówiącego doskonale po moskiewsku Mykitkę ogromnie pokochali. Wprawdzie Mykitka czynił to widocznie z przymusu, bo się kilka razy obzierał za Oleksą, bo się z nim wybierał pójść do dworu dla oddania biednym obnażonym nieboszczykom ostatniej uczciwej usługi. Oleksa nie mogąc się wszakże doczekać Mykitki, powiedział mu z cicha, że zabrawszy Seńka z sobą, pójdzie na górę. Mykitko coś jeszcze mruknął, ale przywo-

łany do sztabskapitana z butelką i konceptem, oglądał się tylko za odchodzącym Oleksą, z wyrazem pewnej niespokojności, którą przelotnie zauważał biedny kochanek Motry. — Idąc do domu, chciał zabrać Seńka, który był strasznie blady i smutny. I już był ruszył Seńko z Oleksą, ale z pół drogi cofnął się. Drżał cały jakby w febrze i przyznał się dobrodusznie, że on strasznie się nieboszczyków boi.

— To ja sam pójdę! powiedział Oleksa. — I jak powiedział tak zrobił.

### XIII.

— Co się ze mną działo, Bóg to jeden wiedział, mówił Oleksa, gdy musiałem znowu patrzeć na te twarze tak dobrze mi znane, które tak niedawno patrzyły na mnie, mówiły do mnie, a teraz tak jakoś okropnie szczyrzyły się do mnie. I każda z tych twarzy zdawała się patrzeć na mnie z wyrzutem, że ich śmierć okropna nie jest pomszczoną. To też postanowiłem, że jak tylko nieboszczykom oddam ostatnią posługę, pójdę w świat i nie spoczne, choćbym miał cały ten świat przejść w szerz i w zdluz, póki tych okrutnych i niegodziwych zabójców nie wynajdę. To postanowienie wziawszy, przeżegnałem, serdecznie się pomodliłem do Boga i jakoś spokojnie zabrałem się do mojej ciężkiej roboty.

Dziś przypominam sobie z tego opowiadania tak dawno słyszanego, główne tylko zarysy, ale to zostało mi w pamięci, że się dziwiłem przy opisywaniu szczegółów nad głębokiem uczuciem, które znamionowało każde słowo opowiadającego. Oleksa jakkolwiek człowiek prosty, który przeszło pół wieku nie wysunął się z lichego miasteczka poleskiego, znajdował wyrazy, na które by się ledwie zdobył wysoko ukształcony człowiek. Tak, to jest prawda, że uczucie mocne i szczerze uszlachetnia człowieka.

Oleksa zaczął oczywiście od biednej Motry! obmył jej rany, i złożył ciało na sienniku, co jej miał być lożem śmiertelnem.

Twarz jej jakoś dziwnie się uspokoiła i śliczną była, mówił Oleksa z zapalem, śliczniejsza nawet niżeli żywa, bo miasto złośliwej czasem zalotności, jaką podniecała moją zazdrość, zdawała się teraz patrzeć tak bardzo słodko i smutno. Gdym wetknąwszy świecę zabraną z folwarku w wyszukany na prędce gliniany lichtarzyk, zapalił i ustawiwszy ją w głowach, raz jeszcze spojrział na nią, zdawało mi się, że to jedno oko więcej rozwarte na mnie zwrócone było, i dziś przysięgnę jeszcze, że mnie wyraźnie przeproszała. Ale za co? I w ten czas niewiem dla czego po pierwszy raz zacząłem myśleć nad tem, dla czego drzwi wchodowe były otwarte. Widocznie ich nie musiała zamykać Motra, bo nie były wylamane i zbójcy przez drzwi otwarte łatwo wejść i okrutności swych dokonać mogli. I ją we drzwiach zdybali; — czy usłyszała ich stapanie? Myśli te przeleciały mi tylko przez głowę jakby jakie ptaki w czasie burzy ledwie dojrzone. Pocałowałem zmarłą w czoło, zrobiwszy na niem znak krzyża świętego i poszedłem do spełnienia da'szego obowiązku smutnego.

Nieboszczyk pan, jak pierwiej uważałem, spokojniejszą miał postawę i jak za życia był bardzo powolnego i spokojnego usposobienia, tak też i po śmierci został ten sam prawie zawsze wyraz twarzy. Ale pani była lepszą jeszcze od pana, ale bardzo prędka, i w gniewie swym czasem popędliwa, przyczem i panu nie raz dostało się słowem niezbyt wyszukanem. W takich razach pani miała obyczaj po rusku przemawiać; to też pan jak widział żonę w dobrym humorze, nazywał ją swoją panną polską, a jak się pani gniewać zaczynała, to jegomość wyniósł się pomrukując: rozterkotała się rusinka.

Przytem pani była nadzwyczajnie silną; podkowy łamała w rękę jak najsilniejszy mężczyzna, a raz gdy dwóch moskiewskich oficerów, co przyjechali w odwiedziny, skorciało żartem ją wypytywać, czy na prawdę jest taką silną, ona długo nie myśląc, porwała jednego i drugiego za kołnierz, podniosła obydwóch do góry, uderzyła ich głowami tak silnie jedną o drugą, że w mgnieniu oka wyrosły im sińce jak indyche jaja, i rzuciwszy na ziemię, zaczęła im z ruska przedrzeźniać. Moskałuszki nie rzekłszy ani słowa, wynieśli się i więcej się już niepokazali.

Więc też pani musiała się ogromnie bronić, i jak mogłem zmiarkować, to ją musiało osłabić, że nim się wzięła do obrony, uderzona była mocno w głowę, którą okropnie była napęczniona i nabrzmiała. Oczy miała straszliwie rozwarte i jeszcze teraz groziły. Jej widok mimowolny strach we mnie wzbudził, do czego się i to przykładało, że miała twarz przekrzywioną, i usta także otwarte, jakby do ostatniego krzyku i przekleństwa. Gdy mi obmył jej twarz, chciałem przymknąć usta, ale to było nie podobne i wtenczas dopiero zauważyłem, że miała w ustach i na zębach krew. Z kąd ta krew pochodziła, nie mogłem zrozumieć, bo na ustach nie było rany. Zęby zaś miała strasznie ściśnięte, że nie mogłem je otworzyć, aby dojść przyczyny krwi, która zdawało mi się, że przez zęby wyszła na wierzch.

Ponakrywałem ciała adamaszkowemi kółkami, które jakoś uszły uwagi śledczej komisji i poszedłem do biednych dziewczątek, przyniosłszy na rękach ich biedną i śliczną towarzyszkę. Leżały prawdziwie niewiniątka, jakby snem ujęte. Taki mnie tam żal ogarnął, że ryknąłem głośnym płaczem. Ależ bo najdziksze serce byłoby się litością rozplynęło, patrząc na te aniołeczki białe, jak ich pięcioro siostrzyczek niewinnych leżało jedna koło drugiej, a przecież zbrojcy nie mieli litości. Boże! daj mi ich odszukać i zemścić się! pomyślałem wówczas.

Ukończywszy, raz jeszcze pomodliłem się i chciałem już odejść. Ale nogi moje były jak z ołowiu. Nie wiem co się ze mną działo, ale coś mnie trzymało na miejscu i niechciało puszczać od umarłych. Ja wtenczas myślałem, że to mój żal ciężki tak mnie osłabił! Och nie, to była Boska wola! to zrządzenie Boskiej Opatrzności! Niech będzie Bogu chwała!

#### XIV.

— Już byłem wyszedł z średniej izby, gdzie leżeli państwo, i stałem w progu samym, i znowu mnie coś wstrzymało. Oko Motry widocznie coś mi mówiło i zwracało nazad. Zebrałem wszyst-

kie siły i chcąc już odejść, raz się jeszcze obejrzałem na moich państwa. Oko moje padło na twarz nieboszczki pani. Nagle włosy mi stanęły na głowie. Ledwie nie padłem; rękami chwyciłem się o drzwi, w których stałem. Zdało mi się... i byłbym przysiągł, że tak było... że pani ustami poruszała. Niewiem z kąd tyle odwagi nabrałem, że wysunąłem głowę naprzód, i wpatrzyłem się jeszcze raz w twarz pani. Nie... usta się nie ruszały, ale zdało mi się, że zęby, które były pierwiej tak ściśnięte, że by noża najostrzejszego nikt w środek nie wcisnął, teraz się troszeczką roztworzyły. Pot zimny na mnie wystąpił; drzałem jak w febrze.

— Tłumaczyli to potem doktorzy, że to opuszczenie siły kurczowej ostatniej było naturalne; ale ja wierzę w to, że to Bóg tak chciał. Kiedy się znów opamiętałem i wpatrując, przyzwyczaiłem się jakoś do tego straszącego mnie widoku, zdawało mi się, że przez te otwarte zęby coś się naprzód wyciska.

Jak się to stało, że nabrałem tyle odwagi, by bliżej przystąpić, już ja nie wiem; i przekonałem się, że w rzeczy samej coś leżało między zębami. Zbliżałem się, wpatruję. Wielki Boże!.. krzyknąłem z razu przeraźliwie, że się własnego krzyku przestraszył, ale w tej samej chwili już wiedziałem, już rozumiałem wszystko.

— Odważyłem się podsunąć rękę; pociągnąłem i wydobyłem z zębów palec ludzki! Tak paniezu, to był palec ludzki!.. grubość... skośniały, widocznie w chwili walki odkaszony!

Więc to palec mordercy, sam do siebie krzyknąłem! I lyskawica mi przemknęła przez głowę. Już wiedziałem, kto był zabójca. Czy też to nie dopust Boży, że w tej samej minucie przemknęło mi lyskawica, jak widziałem przed sobą Mykitkę płaczącego ciągle, i ciągle ocierającego lzy jakąś szmatką, którą trzymał ciągle w prawym ręku — a przecież chustki nosić z sobą nie miał w zwyczaju.

— Poleciałem, co temu mi stało, i wpadłem nagle na folwark między pijących i doskonale już popitych moskali, bo już nawet Mykitkę posadzili koło siebie i tak mu dolewali, że Mykitko był czerwony jak burak; do upiora wydał mi się podobnym. Spojrza-

łemiorku niemu; szmata czy chustka biała była ciągle wiaprą-  
wym ręku.

— Jest! krzyknąłem między pijanych taki przeraźliwie, że się  
wszyscy wzdrygnęli.

— Co jest? krzyknęli na mnie; ty pijanica!

— Jest zabójca! krzyczałem dalej.

— Chto? hajdamaki? gdzie?.. wolali nie bez strachu my-  
śląc może, że tuż za mną ciągną hajdamaki.

— Mykitko zbladł okropnie. Z upiora zrobił się trupem.

— O tu jest!.. zawołałem i na środek stołu między pijanych  
rzuciłem ten palec odkaszony, który Opatrzność kazala zmarłej z za-  
ciśniętych wypuścić zębów.

Na ten widok wzdrygnęli się pijani.

— Palec!.. palec!.. trupa!.. krzyczeli.

— Mykitko w tej chwili przysuwał się do drzwi, lecz ja go  
z oczów nie spuszczałem. Porwałem za tę rękę trzymającą chustkę  
i tak ścisnąłem silnie, że aż syknął z bólu.

— A tu ten, którego to jest palec!.. krzyknąłem i w jednej  
chwili wyrwałem Mykitkę chustkę z ręki, która miała zasłaniać pa-  
lec średni obwinęty silnie w kilka szmatek. Mykitko był bezsilny  
prawie, tak go przemógł przestach. Rozwinałem szmatki, — krew

trysła z rany palca, któremu całej połowy brakowało. Czy sumie-  
nie go wzruszyło, czy ból i strata krwi przemogła, upadł jak długi  
na podłogę.

— Panowie śledztwa wytrzeźwili się od razu, i z osłupieniem  
patrzali to na palec leżący na stole, to na ranę zakrwawioną u ręki  
Mykitki. Nie mogli się jeszcze połapać, i tylko z zadziwieniem bez-  
przytomnie patrzali na palec, i macali go powtarzając.

— Jej Bohu!.. to palec!..

W krótkich słowach opowiedziałem wszystko, i oddając im My-  
kitkę, sam wybiegłem za Senkiem, bo już wtenczas było mi wszystko  
tak jasno, jak gdybym sam był przy całym zabójstwie. Senko leżał  
w stajni, ale nie spał. Jak mnie tylko zobaczył, już dźwiał cały

— Ty zabiłeś naszych państwa! krzyknął. — On tylko zębami dzwoniąc ze strachu odpowiadał. Porwałem go z sobą i przywiódłem do izby. Mykitka już był przyszedł do siebie i od razu się przyznał. Nic już nie tail, niczego się nie zapierał.

— Moskale wytrzeźwieni zabrali się do pisania. Obydwa zeznali wszystko.

Zeznanie to przebiegał biedny Oleksa jak najprędzej kilkoma słowami. Bo w tem zeznaniu była jedna najboleśniejша dla niego okoliczność. Mykitka podchlebstwem swoim tyle wymógł na zalotnej Motrze, że ona nie bez wahania przystała na to, aby drzwi nie zamykać i czekać na Mykitkę, który jej przysięgał, że ma jej coś ważnego powiedzieć. Uzbrojeni w siekiery, poszli Mykitko z Seńkiem. Drzwi były otwarte a Motra niespokojna czekała w sieniach. Uderzona silnie ostrzem siekiery w głowę przez Mykitkę, a obuchem drugiej siekiery przez Seńka, padła pierwsza ofiarą, lekkie tylko wydawszy wykrzyknienie.

Wpadli do drugiej izby. Pan Teleżyński lekkim krzykiem Motry do pół rozbudzony, widząc wchodzących porwał za pistolety; obydwu spalili na panewkach, bo Mykitka miał przezorność, że w przeddzień jeszcze na noclegu naboje powykręcał. Rzucił się na niego Mykitka i z całą siłą uderzył siekierą. W tej dopiero chwili obudziła się pani Teleżyńska i uderzona obuchem, jęła się bronić, podczas gdy pan Teleżyński szamotał się z Mykitką. Silniejszy znacznie chłop, mocno zranionego łatwo dobił, lecz nie tak łatwo szło z silną Teleżyńską, która z odwagą rozpaczliwą broniła się obóm. Seńko pchnięty nogą upadł na ziemię, a z Mykitką pasując się porwała go wtenczas za palec ręki, którą jej do gęby wtykał, aby nie krzyczała i w tej spotęgowanej sile skurczonych rozpaczliwie zębów odkaśła mu średni palec przy pierwszym stawie. Przez ten czas Seńko się podniósł i oba waleząc siekierami, dobili biedną już osłabioną kobietę.

Biedne dziewczęta słyszały to szamotanie się i te krzyki, ale strachem zdite, przycupnęły biedaczki pochowawszy głowy pod po-

duszki. Nie broniąc się nawet, poginęły wszystkie. Każda dostała po cięć parę siekierą, krwią biednych Teleżyńskich obryzganą. Skończywszy to okropne dzieło, oba wrócili do średniej izby i rozbijwszy kufer, dobyli z niego złoto, które za dwoma razem musieli wynosić i zakopali w starej rozwalonej piwnicy od nabiału, która była w ogrodzie. Z tamąd wróciwszy poszli do studni, aby się obmyć zupełnie. Mykitko wtenczas rozdarł własnej pół koszuli, obwinął palec ścisnąwszy go z całej siły, by krew tryskającą powstrzymać i z reszty koszuli wydarłszy wielką szmatę jakby chustkę, trzymał ją w rękę, aby nie było widać palca obwiniętego.

Wtenczas to właśnie krewniaczka pani Teleżyńskiej nie zupełnie zamordowana, przysła do siebie i przytomna a strachem przejęta, jak się zdaje wymknęła się przez okno, chcąc uciec z domu mordów. Na jej nieszczęście gdy biegła dziedzińcem, postrzegli ją i skoczyli ku niej. Dziewczyna złożyła ręce i zaczęła błagać o życie. Seńka wziął litość i chciał jej życie darować, ale Mykitko zwy-myślał go i krzyknawszy jeszcze:

— Kiedy siedem dusz zginęło, niech i ósma za nimi idzie!..  
Uciał siekierą w szyję tak mocno, że dziewczę od razu padło nieżywe.

Dokonawszy okropnego dzieła, czekali dziennego brzasku; Seńko poszedł do stajni, a Mykitka wyszedł na wieś jak wiemy, krzycząc, że hajdamacy państwo zrabowali i zabili.

Proces mordercom uczyniony był sławny swojego czasu, sławny głównie przez okropne męki, w jakich ginęli zabójcy. Ręce im obwiązywano słomą, polewano smolą i zapalano jak pochodnie, nozdrza wyrwano, pasy darto. Cała moskiewska dzikość owoczesna (nieprzymawiając, niewiele się na awantaz zmienila) wysadzała się na te męki.

— Byłem szczęśliwy z zemsty!.. kończył Oleksa opowiadanie swoje, ale nie mogłem się doczekać końca; uciekłem z placu, na którym ich męczono. Seńko nie długo wytrzymał, ale Mykitko wszystko przetrwał i dopiero knutami go dobili. Długo potem jeszcze



nocy nie miałem spokojnej. Ciągłe zdało mi się widzieć Mykitkę z rękami jak pochodnie podniesionemi, krzyczącego w niebogłosy bluźniercze przekleństwa na ludzi!

— A pieniądze? gdy pytałem Oleksę, kiwał rękami zawsze i odpowiadał:

— A pieniądze wykopali zaraz przy śledztwie. Były wszystkie. Ale jak się śledztwo skończyło i panowie z komisji odjechali, pieniądze gdzieś zeczeły. Familia Teleżyńskich ani zlotówki z nich niewidziała.

### XV.

Taki to był epizod romantyczny i krwawy w życiu tego gajowego w Ksawerowie. Po tych zdarzeniach wrócił do chaty rodzinnej i zastał ojca jeszcze żyjącego. Ojca była wola i błaganie, aby się syn ożenił koniecznie, zanim mu oczy zamknie na wieki. Oleksa kochał i szanował ojca; nieśmiało się jego woli sprzeciwiał. Związek jaki zawarł, miał to jeszcze szczególnego, że się nie z chłopką ożenił, ale z szlachcianką. Mógłbym i tu wturcić mili czytelnicy nowy epizodzik o tem szczególnem ożenieniu, ale niechęć was nudzić — i w tym epizodzie dosyć ciekawe były szczegóły. Powiem zatem tylko w krótkości, że w sąsiedztwie Ksawerowa był zaścianek szlachecki Niedaszków. Panowie Niedaszkowscy byli bardzo dumni i jeżeli się który żenił, to tylko między sobą, albo jeździli w konkury w drugą stronę Ksawerowa do Szkuratowa, który znowu dzierzyli panowie Szkuratowscy nie mniej dumni jak sąsiady Niedaszkowskie. Ale zaścianki oba tak się z czasem rozrodziły, że przysła wielka bieda jak na Niedaszkowskich tak i na Szkuratowskich. Otóż w Niedaszkowie urodziła się w jednej najuboższej chacie szlacheckiej Maryna Niedaszkowska z Szkuratowskich urodzona. Zostawszy sierotą po ojcu i matce, którzy biedniatko odumarli, była pod opieką dwóch stryjów także niezamożnych, którzy obydwu wielki mieli chrap na chatę i grunt Maryni. Gwałtem zabrać! to rzecz nieszlachecka; wydrzeć procesem, to się zdarza między szlachtą, ale nie było o co zacząć,

a choćby w palestrze znaleźli się kręciarze, to znowu nie było czem ich opłacić.

Lecz Bóg sam rozrządził na stronę panów Nieraszkowskich. Biedna Maryna w domu trapiąca a podobno i bita nieraz, uciekała do lasu, i tam biedna gorzkiemi zalewała się łzami, oplakując swą niedolę i smutne sieroctwo. Tak ją raz zdybał nasz Oleksa. A że miał twarz i dorodną i poczciwą, więc się jakoś dziewcze przed nim wypowiedało, i widząc w oczach Oleksy lzy współczucia, przywiązała się do niego.

Było tam jeszcze wiele korowodów, bo stryjowie choć radzi byli z duszy pozbyć się Maryny, ale dla szlacheckiej fantazyi odgrywali komedyję, aż wreszcie sprzedali chłopowi synowicę za jej chałupę i grunt.

Oleksa żył z nią bardzo szczęśliwy. Oboje przeżyli wszystkie dzieci własne, które jakoś młodo wymierali. Został się tylko syn jeden, który się ożenił w Ksawerowie i którego żona mówiąc nawiasem, była mamką waszego uniżonego sługi. Lecz i tych przeżyli oboje staruszkowie, i tylko im jedna została wnuczka, którą nazwali imieniem, jakie raz tylko w życiu moim słyszałem. Wnuczka ta miała imię Chrystyja.

Tu już ledwie mogę wytrzymać, by się dłużej nie zatrzymać nad obrazkiem i losem Chrystyi. Obrazek byłby śliczny, bo Chrystyja była tak piękną, że nie tylko chłopci w Ksawerowie i żydzi tamtejsi, nie tylko panowie Nieraszkowscy i panowie Szkuratowscy, ale i całe Ksawerowa szlacheckie sąsiedztwo dziwiło się nad tą cudną pięknoscia białej jak lilija, a czarnobrewej i czarnookiej, jak najcudniejsza orżyna, prostej chłopskiej dziewczyny. Panowie Nieraszkowscy i Szkuratowscy dowodzili, że to ich czysta krew szlachecka robi. Stary Oleksa mówił tylko, że podobniatienka do zamordowanej Motry. Autor zaś zapewnia, że była tak piękną, jak pięknemi były pierwsze jego powieściarskie marzenia, gdy po gajach Ksawerowskich pierwsze strzelał baki. A i los Chrystyi wart opisu, już najprzód jako mleczej siostry nudzącego was gaduły;

a potem w samej rzeczy dziwne i niezwykle ona przechodziła koleje, i wyszedłszy z chaty Ksawerowskiej, umarła młodą po życiu zmiennem pod obcem nie polskim niebem, przebywszy chwile wielkiego szczęścia i wielkiego nieszczęścia.

Gdy o wili Bożego Narodzenia mówią, zaszedłem do chaty Semena, gdzie i rybę i kutię i te złocone orzechy z miodem jadem, przyszedł mi Oleksa tak żywo na pamięć, że nie mogłem wytrzymać, by tego ciekawego a tragicznego o nim nie opowiedzieć epizodu. Wtenczas dzisiejszy stary gaduła po raz pierwszy usłyszał kilka szczegółów tego zdarzenia o Teleżyńskich, opowiadanych przez Oleksę, które go przerażały straszliwie, i byłyby jeszcze więcej przerażały, gdyby się nie był zajął lataniem pocztą z moją o rok młodszą siostrą Chrystyją, aż póki zbiegawszy się, gdy i wilija i opowiadanie Oleksego długo trwało, oboje dzieci, szlacheckie i chłopskie w najlepszej zgodzie w kącie ławki drewnianej usnęli.

I dla tego tak długo się nad nimi zatrzymałem, mając właśnie na myśli inne zdarzenie w wiliję Bożego narodzenia, które mi się pod tą nazwą przypominało.

I dla tego choćbym mógł bezpiecznie już tu zakończyć moją gawędę kominkową, jeżeli koniecznie zechcecie zajrzeć do części drugiej, będziecie mieli na gawędę kominkową o wili Bożego narodzenia, dwie opowieści miasto jednej.

Koniec części pierwszej.

# Wilia Bożego Narodzenia, gawęda przy kominku.

## Część II.

### Wilcze doły.

#### I.

Znałem przed laty dwóch szlachciców poczciwych co się zowie, ale dziwaków po trosze, a każdy w innym rodzaju. Dziwactwa te nie pochodziły ani z narowu głowy, ani z narowu serca, bo i jeden i drugi choć nie byli jenjuszami, ale mieli oba tyle właśnie zdrowego rozsądku i przyuczonego rozumu, ile potrzeba spokojnemu szlachcicowi na wsi, aby żył swobodnie i szczęśliwie, nie dał się okpić tak łatwo, chodził koło roli jak się należy, a i w sąsiedztwie i w obywatelskiem życiu odegrał przyzwoitą rolę. I jeden i drugi mieli wielkie zalety serca, prawość charakteru, i szlachetne uczucie. Ich dziwactwo było po wielkiej części skutkiem temperamentu. Nazywać ich po nazwisku nie widzę potrzeby, a więc zwać tylko po imieniu, powiem, że pan Piotr był flegmatyk, a pan Paweł choletryk — gorączka. Lecz sam temperament nie byłby dostatecznym powodem dziwactwa, jakie im zarzucić można było, bo przecież mnóstwo jest na świecie całym, a i pomiędzy naszymi szlachcicami prędkich i powolnych, którzy nie dziwaczą tak bardzo. Objawieniu się ich dziwactwa pomagały zapewne te temperamenta, lecz samego przyczyną było — by prawdę wyznać — po prostu wychowanie.

Tu bez paradoksu i bez obmowy niech mi wolno będzie powiedzieć, że nasze wychowanie szlacheckie wiece jest pomocne do wyrobienia tych rozmaitych dziwactw, jakimi się tak często odznaczają — nieprzymawiając — tak zwani synowie obywatelscy u nas. Można było nazwać nie tyle złem wychowaniem, ale brakiem wychowania. Dziś to zapewne poprawiło się po wielkiej części, ale jeszcze nie zupełnie, ale w epoce pierwszych dwóch dziesiątek lat teraźniejszego wieku, w której się porodził moi szlacheice, taki syn obywatelski, był już przed urodzeniem synem obywatelskim, obywatelem i szlachcicem przez samego Pana Boga stworzonym — taki *legatus natus* na to stworzony, aby był obywatelem i kwita. Jeszcze się dobrze sylabizować nie nauczył, a już wiedział dobrze, że jest synem obywatelskim, przeznaczonym na to, by był wkrótce obywatelem i jako znawca świata prowadził rej w obywatelstwie. To mu mówił i papa i mama dobrodzika, i pan ekonom, i służba dworska, i pan nauczyciel, który w małym i głupim berbeciu musiał już szanować to obywatelstwo, jeżeli nie chciał, by go wraz z jego nauką nie wygoniono z domu obywatelskiego.

Jeżeli taki syn obywatelski miał rówieśników jakich, z którymi żył bliżej, to byli także synowie obywatelscy. W wzajemnem towarzystwie nie się jeden od drugiego nie mógł nauczyć, prócz ślepej wiary w indywidualną swoją wyższość nad tłumy przez to samo, że go Bóg sam namazał na obywatela.

Takie wychowanie, jeżeli to można nazwać wychowaniem, musi koniecznie najlepsze dary przyrody skrzywić, i każdą wadę temperamentu niezem nie przytłumioną spotęgować do pewnego dziwactwa. Jeżeli chcemy się w dobrej wierze nad tem zastanowić, musimy przyznać, że do bardzo niedawna przynajmniej — gdyby statystykę dziwactw towarzyskich kto chciał ułożyć, musiałby prym przyznać naszemu krajowi, a w nim przypadłoby najwięcej takich dziwactw, które przez gnusność i pobłażającą miłość własną zwaśliśmy oryginalnościami, choć — jeżeli są niemi, to pewnie bardzo nieoryginalnemi oryginalnościami — przypadałoby tedy jak powiadam, na nasze z resztą wiece zacne i szanowne obywatelstwo.

Traktatu o tem pisać nie myślę, ale tak rozgawędziwszy się po nitce pamięci idąc, powiedziałem moje zdanie na starem doświadczeniu oparte. O mój Boże! gdybym się tak nie wstrzymywał, ileż bym to mógł przytoczyć przykładów żywcem wziętych z naszego społeczeństwa zebranych przez czas, który w temże społeczeństwie przeżyłem.

Owoż i pan Piotr i pan Paweł byli dziwakami w tem wyżej określonym znaczeniu. Bo jako najprzód synowie obywatelscy, a potem jako już obywatele, nie czuli się do powinności uśmierzenia swych temperamentowych narowów.

— Ja jestem obywatelem! do mnie się drudzy stosować powinni, nie ja do drugich!.. jest aktem wiary obywatelskiej.

A wynikający z tąd drugi akt wiary, jest przekonanie niezłomne o nieomyślności obywatelskiej każdego *ja*. Po nieomyślności prawowitych monarchów, jest to z kolei drugą nieomyślnością.

Smutne doświadczenia zadały kłam temu przekonaniu, i narzuciły nie mało dziwacznych rogów, wiem o tem — i przyznaję — aby się w klótnie i polemiczne rozmowania nie wdawać, że ogromnie idziemy ku lepszemu. Ja opowiadam jeno moje pamiętki, i — aby od wszelkiego uwolnić się posądzenia, przyznaję najrzetelniej, że nie tworzę typów, ani satyry, ale wprowadzam dwóch ludzi, których znałem — i znam może jeszcze, bo choć już starzy, ale nie zgrzybiali, gdy jak jeden tak i drugi rodzili się około 1810 roku.

## II.

Traf ślepy, który my lubimy losem nazywać, a który dziwniejsze, do najlepszych powieści tworzy zawikłania, postawił oba sprzeczne charaktery w najbliższych stosunkach.

Na pięknym i żyznym naszym Podolu, nie daleko pasu granicznego, naznaczonego czarno-żółtymi i zielono-pasowemi słupami w wielkim jarze stanowiącym jakby rozpeknięcie równego stepu podolskiego, były rozrzucone duże ogromne wsie podolskie, stykające

się w kotlinie dymnemi chatami, a rozchodzące się szerokimi lanami po obu bokach jaru. Nazwijmy te wsie Jarkowce i Podjarki. Jak widety wystawione po obu końcach jaru, stały dwa dwory, mniej więcej podobniuteńkie do siebie zwykłą architekturą, czyli raczej zwykłym brakiem architektury naszych dawniejszych dworców szlacheckich, które powstawszy z folwarków należących do wielkich majątności, przerabiały się i dorabiały pomału wedle potrzeby, okoliczności i kieszeni.

W bliższe opisy wdawać się nie będę, i aby z opisów już wziętych wykończyć in medias res, powiem po prostu, że pan Piotr był jedynakiem dziedzica Jarkowiec, a pan Paweł jedynakiem dziedzica z Podjarek. Obaj ojcowie domatory żyli w świętej zgodzie, a więc i synowie bawili się dziećmi razem, skakali razem chłopakami i razem darli nieznośne swe elementarze, przez co naturalnie i wychowanie obydwóch jednakowym postępowało trybem. A co więcej serdecznie się chłopcy kochali. Jak się to działo przy tak różnych temperamentach, trudno zrozumieć — ale tak było. Nie obchodziło się atoli i bez srogich klótni. Pawełek nieraz serdecznie obił Piotrusia, ale za to serdecznie go żałując, musiał cierpliwie wysłuchać długie wywody skargi, jakimi się flegmatyczny Piotruś na prędkim Pawelku odwetował. Dochodziły czasem skargi i do ojców, ale gdy ci udecydowali, że dla pogodzenia najlepiej obu plagami obdarzyć. poszli obydwaj chłopcy po rozum do głowy, i od-tąd swe zwady zaczynali i kończyli między sobą.

Zdaje się, że w końcu przyzwyczaili się do tej koniecznej walki i pomału wyrobiło się u malców wcale filozoficzne a charakterystyczne zapatrywanie się na różnicę temperamentów własnych, które to wpatrywanie się formowało się mniej więcej z takiej lub podobnej często między nimi odbywającej się rozmowy:

- Dlaczego ty taki prędki, mój Pawelku?
- A ty Piotrusiu dla czego taki flegmatyk?
- Bo ja już taki jestem!
- Ba i ja jestem taki!

— A dlaczego ty taki?.. a nie taki jak ja?.. coby było daleko lepiej!.. zapytali się nawzajem.

— Albo mi nie wolno?

— A i mnie wolno!

— Alboż to mój ojciec nie jest panem i obywatelem na Podjarkach!

— A mój panem i obywatelem na Jarkowcach!

— I ja będę po nim panem i obywatelem!

— A ja nie? — i ja będę panem i obywatelem!

— To prawda!.. zawołali obaj chłopcy przekonani.

To było pierwsze poczucie solidarności obywatelskiej.

### III.

Ojcowie po długiej naradzie spróbowali ich wyprawić do szkoły.

— Chociaż to teraz te szkoły!

— Tyle tam hałastry!

Zrozumieli się szlachcice i westchnęli oba.

Piotruś i Pawełek w szkołach jeszcze silniejszym ścisnęli się węzłem. Solidarność obywatelska potrzebną się okazała w praktyce naprzeciw tej mieszanej szkolnej hałastrze. Jak Piotruś wynudził kolegów swoją flegmą, to Pawełek wytlukł tych, którzy się nie chcieli dawać nudzić. A znowu jak Pawełek wpadł w pasyę, i młócił kolegów, Piotruś z flegmą, ale nie mniej dobitnie rozdawał szturkańce między tych, co się nie chcieli dawać młócić.

Jeżeli się kiedy jeszcze kłócili, to tylko w takich razach, kiedy Pawełek pobawi kolegów, na pogodzenie zaprosił ich na podwieczorek i fundował szezerze i od sereca; Piotruś w takim razie niezmiernie długie czynił wymówki Pawełkowi, karcąc go nudnemi frazesami za rozrzutność i pospolitowanie.

— Niech durnie znają!

— Ależ Pawełku!



— Siedz cicho! bo wiesz! — my panicze, a to urwisze i goley. Niech jedzą durnie!

— Masz slusznie! nam panom zawsze wystarczy!

I dobywał sakiewki, by mieć udział w wydatkach.

Lecz na końcu koledzy się omówili, bo już na niebie społecznem i politycznem zaczął się szarzyć przedświt rewolucyjny, i jakoś pewnego razu solennie zbili obu synów obywatelskich. Obci padli sobie w ramiona, i bez długiego namysłu zrozumieć oba, co im czynić wypada. Schowawszy na ten raz do kieszeni mocno poszwankowany honor obywatelski, *per pedes apostolorum* udali się do ojców.

Ojcowie dowiedziawszy się, co się stało, osłupieli z gniewu i przerażenia; ledwie uszom swym wierząc, że jakieś mieszczechy, powowicze i dzieci urząd ników, śmieli się w tak nieprzyzwoity sposób zbliżyć do obywatelskiej skóry.

— I ma być dobrze na świecie!.. *Desolatio desolationis!*.. rzekli oba, i synów zostawili w domu.

Reszty się sami w domu douczą!.. Mają po wsi i są synami obywatelskimi!..

Więc kupili im po koniowi, by dokończyli wychowania swego. I dobrze się działo obu synom obywatelskim; przyjaźń związała ich młode umysły jeszcze więcej, wynieśli bowiem ze szkół jedną ważniejszą przyczynę do mnogich rozterek.

Było to na punkcie religii, czyli raczej na punkcie nabożeństwa. Oba się nie zastanawiali zapewne nad religią z wyższego i gruntowniejszego stanowiska. Oba wynieśli z domu rodzicielskiego zwykle po domach obywatelskich zasoby religijne, ograniczone na katechizmie nauczonym na pamięć, i na powierzchownych oznakach nabożeństwa. I ta między nimi była jedynie różnica, że Paweł jako żywy i prędki chłopiec, nie chętnie oddawał się nabożeństwu, które go nudziło. Piotr przeciwnie jako systematyk miał swe godziny dla pacierzy przeznaczone, które odmawiał mechanicznie, nie duchem ale ustami.

- Ty jesteś bezbożny! mówił Piotruś.  
— Ty jesteś bigot! odpowiadał Pawelek.  
— Klepanie pacieryów dobre dla ludu i hołyszów, ale nie dla synów obywatelskich! rozumował Paweł.  
— My właśnie jako wyżsi na świecie, bliżsi jesteśmy Boga rozumował Piotr.

Były to dwa rozumowania obywatelskie; jedno jak się zdaje nie wiele więcej warte od drugiego.

Skończyło się na tem, że nieraz dosyć cierpko przymówili sobie:

— Ty jesteś Jezuita!

— A ty Ateista!

Lecz przyszedłszy już do wieku, gdzie inne namiętności grać zaczęły, nie było czasu do takich kłótni. Oba żyli życiem obywatelskim, a że się nie zdarzyło, by jeden drugiemu zaszedł drogę w obywatelskich romansikach, więc zgoda trwała między nimi.

Tymczasem wybuchła rewolucya roku 1830. Piotr miał dwadzieścia jeden, Paweł lat dwadzieścia. Zawrzała w obydwóch krew polska, która się w obywatelskim życiu, dzięki naszym niewiastom, zachowuje czysta i krzepka. Oba zaciągnęli się w szeregi polskie. Zostali naturalnie oficerami i to w jednym pułku; bili się chwacko, bo to polska cnota, której nam jakoś nie zdołały wydrzeć ni obywatelskość, ni salonowość. Paweł wyrabiał z pomiędzy nieprzyjaciół otoczonego już Piotra; Piotr zasłaniając Pawła, został ranny. Byli więc kwita, i obu przyjaźń wzmocniła się tem więcej.

— My z sobą do śmierci! rzekli obydwaj z rozrzewnieniem, ściskając się serdecznie.

Jednakże i w obozie nie obchodziło się bez kłótni między nimi. Piotrowi strasznie przypadł do smaku Skrzynecki ze swoim nabożeństwem, kunktatorstwem i dyplomacyą. Żywy Piotr nie mógł znieść ni jednego, ni drugiego, ni trzeciego.

— Skrzynecki wielki człowiek! powtarzał Piotr.

— Skrzynecki jest mazgaj! krzyczał niecierpliwy Paweł, który coraz więcej stawał w opozycji, i był jednym z najkrzykliwszych w onym żołnierskim sejmiku pod Bolimowem.

— Ty jesteś Demokrata!

A ty Arystokrata! krzyczeli na siebie, chociaż byłby ich w niemały wprowadził ambaras ten, coby się ich zapytał o definicyą zdrową obydwu nazwisk.

Lecz gdy pobudka zagrała, a obaj siedli na konie, klótnia była zapomniana, i wracała dawna serdeczność.

#### IV.

Skończyła się nieszczęśliwa kampanja. Oba wrócili w domowe progi, oba obdarzeni krzyżami zasługi. Zgoda panowała święta, chociaż te krzyże właśnie zdawały się być przedmiotem pewnych przymówek.

— Ja mój krzyż dostałem na polu bitwy! mówił Paweł, a ty w sztobie!

— Ciebie pod Gołębiem koń uniósł, i to ci porachowano za dowód waleczności!

— A tyś wyklaniał twój krzyż, asystując pani Skrzyneckiej, która się bawiła już w królowę!

— Szalapat jesteś!

— A ty hypokryta.

Lecz i to się utarło, bo rzeczywiście byli do siebie przywiązani. I zdawało się, że ich przyjaźń nie zerwie się nigdy. Lecz jak się zdaje, inaczej było zapisane w księdze przeznaczenia. Ojcowie pomarli. Synowie obywatelscy wyszli na obywateli, i poženili się krótko jeden po drugim. Oba dwory żyły w największej zażyłości, bo i panie, ciche, spokojne a poczciwe kobiety pokochały się serdecznie. Piotrowi urodził się w pierwszym roku syn i już potem nie miał więcej dzieci. Pawłowi rodziły się dzieci jedno po drugim, ale się nie chowały. W piątym dopiero roku urodziła mu się córka,

i Piotr zjechawszy na chrzciny, przy winku tak się rozczulił, że rzekł z większym zapałem, niż zwyczajnie:

— Julka niech się chowa!.. dla mego Stasia!

— Brawo! krzyknęli drudzy sąsiedzi!

Przyniesiono wina i większy wiwat kielichowy — i wypito zdrowie zaręczonych Stasia pięcioletniego, i Julki pięcioletniowej. Matki poczciwie uściskały się i spłakały.

Rok szedł za rokiem, i zgoda sąsiedzka trwała niezmiennie. Klócili się zawsze między sobą, dobywając te wszystkie zarzuty, o których wspominaliśmy wyżej, i nagadawszy sobie nawzajem: ty taki ty owaki, nakrzyczawszy się co nie miara, godzili się znowu i ściskali. A jeżeli nawet kłótnia się przeciągnęła, i zawziętszego nabierała kierunku, przychodziły żony, a jak to jeszcze nie pomogło, to wpadały dzieci. Na ich widok ojeowie się upamiętywali.

— Stasiu! mówił Piotr do syna siedmioletniego; czy kochasz Julkę?

— Jakże nie mam kochać, kiedy to moja żona!

— Julciu, mówił Paweł do swego dwuletniego pędraka, czy kochasz Stasia?

— To mój mąż! mówiło dziecię poczynające dopiero gadać.

Ojeowie to słysząc, zrywali się ku sobie i ściskali.

— Ale to przecie twoja wina Pawle! ty taki gorączka!

— Twoja! twoja Piotrze! ty taki nudziarz!

Lata mijaly. Staś miał lat dwadzieścia dwa, Julka siedemnaście. Oboje byli śliczni i oboje kochali się serdecznie. Przyzwyczajeni do tej myśli od dzieciństwa, że będą małżeństwem, widzieli w tem całe swe szczęście. Matek rozsądnych wychowanie zrobiło z nich coś więcej nad dzieci obywatelskie, do czego się przyłożył duch czasu, i oboje stali w wykształceniu i umysłowym i moralnym daleko wyżej od swych ojców.

Postanowili ojeowie, by ich pobrać, gdy Staś skończy rok dwudziesty czwarty.

— Tak długo czekać jeszcze! mówił z zapalem niecierpliwy młodzieniec, rzucając na narzeczoną spojrzenia ogniste.

Julka w duszy czuła to samo, ale przecież panience nie godzi się do tego przyznać, więc się tylko zarumieniła jak malina, i rzekła z cicha:

— Dwa lata przeminie!

— Bo ty mnie tak nie kochasz, jak ja ciebie!

— Ja ciebie nie Kocham! odpowiedziała Julka na pozór spokojnie, ale jej oko pełne i przezrocyste przemówiło taką siłą, że zawstydzony Stanisław spuścił oczy.

— Daruj Julko! ale ty wiesz, że Kochając ciebie, boję się każdej przewłoki!

— Boisz się? dla czego?

— A jak przez ten czas kto inny się tobie podoba?

— Wstydź się Stasiu!.. znasz mnie!.. gdybym nie została twoją żoną, tobym umarła.

Powiedziała to bez przesady, ale głosem pewnym.

Czasem zniecierpliwiony pan Paweł przemawiał za przyspieszeniem pożądanego związku, lecz mu pan Piotr odpowiadał jak zawsze:

— Ty mnie znasz, że co postanowię raz, tego nie zmienię nigdy.

— Twoja flegma może człowieka do wściekłości przyprowadzić, odpowiedział Paweł i uciekał z pokoju, by uciec przed pokusą — jak to nazywał — złajania swego przyjaciela. Po chwili wracał udobruchany.

— Bodaj ciebie nudziarzu! — ha! czekajmy.

Tak się zwykle wszystkie kończyły kłótnie. I znając ich bliżej, trzeba było wierzyć mimowolnie, że właśnie te kłótnie były im potrzebne. Tak się do tych chwilowych burz przyzwyczaili, że bez nich życie by się im wydało nudne i monotonne.

Jak silną była ich przyjaźń, mimo różnicy temperamentów, najlepiej dowiódł fakt jeszcze jeden. Opowiem tu rzecz, co się nie-co pierwiej stała. Było to jeszcze za czasów mandataryjuszów. Obie wsie miały mandataryjuszów, którzy się kłócąc między sobą, chcieli i panów pokłócić. Więc wydobyli jakąś odwieczną kłótnię o kopcy graniczne w lesie. Granica schodziła się na polance małej, na której stały kopce, a między nimi jak wysepka na polance, kupka brzózek, których było coś pietnaście. Zaczęli mandataryjusze wmawiać w jednego i drugiego że ta kupka drzew bezużytecznych należy do jednego. W rzeczy zaś samej leżąc między kopcami, prawo własności było co najmniej wątpliwe.

Już było przyszło do kłótni na miejscu sporu między sąsiadami i zaczęli bąkać o procesie.

— Ja mego nie odstąpię!

— I ja nie!

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— A ostatnie!

— Dobrze! kwita z przyjaźni!

I już odskoczyli od siebie, ale jakoś odszedłszy kilka kroków, skorcało ich obejrzyć się za sobą. Jak się obejrżeli, tak się im żal zrobiło, że oba rozrzewnieni krzyczeli:

— Weź sobie!

A że ani jeden ani drugi teraz wziąć nie chcieli, więc omal się na tem znowu niepokłócili. Aż w końcu Pawłowi przyszedł dobry koncept do głowy. Kazał ściąć wszystkie brzozy, zapalić ogromne ognisko, zgotować przy niem pojednawcze śniadanie, i na tem miejscu ogromny wysypano kopiec, rozkopawszy dawne.

Taka przyjaźń zda się już nigdy i o nie rozbić się nie mogła. Otóż przecie stało się inaczej. Rozbiła się, i o co? Nigdy nie zgadnicie kochani czytelnicy! Na sto razy nie zgadnicie... Rozbiła się o rajtuzy! Tak jest o rajtuzy! Ale do wytłumaczenia tego potrzebuję przytoczyć niektóre szczegóły.

Zona pana Piotra była skoligacona z wielkimi rodami. Jej ciotka rodzona była za księciem, a jeden jej stryjasek miał za sobą hrabiankę z księżnej urodzoną. Sama pani Piotrowa nie sobie z tego nie robiła, ale pan Piotr, jak go już poznaliśmy, wielką wagę do tego przykładał, i kiedy tylko mógł, to wściubił zawsze w swe długie i nudne opowiadania, historię o dwóch mitrach i jednej koronie hrabiowskiej. Stał się przez to nie gorszy, i nienudniejszy, ale więcej ceremonialny, sztywniejszy, ogromnie dbały o wszelką przyzwoitość, a przytem, by godnie odpowiedzieć znakomitym swym koligacyjom, jeszcze więcej nabożnym, komerzoatywnym i aristokratycznym.

To pana Pawła, zawsze żywego i roztrzepanego nie tyle gniewało, ile nudziło. A że już miał jak widzieliśmy żyłkę opozycyjną, więc drwił nieraz z mitr i koron hrabiowskich, co strasznie drażniło i skandalizowało pana Piotra, i naumyślnie przesadzał w swych napadach liberalnych, o których właściwie tyle wiedział, co ślepy o farbach. Wyśmiewał ciągle powagę dyplomatyczną pana Piotra, nadając mu w życiu owe nazwy najbardziej dotkliwe i nie koniecznie przyzwoite. Pan Piotr odgryzał się zwiąc go liberałem, farmazonem, hulaką i t. d.

Na te nazwy zasługiwał po części pan Paweł, bo jak zwykle obce narowy przez wiek nabierają siły; żywość jego i małodbanie o wszystkich przechodziły nieraz w bezgraniczną bezwzględność. Dodać tu potrzeba, że na rok może przed tem rajtuzowem zdarzeniem, o którym mam opowiedzieć, pani Pawłowa, która nigdy silnego zdrowia nie miała, umarła. Pan Paweł szczerze rozpaczał za żoną, i jak to już było w jego charakterze, stał się jeszcze mniej dbałym o wszelką powierzchowność i wszelkie względy, jeszcze więcej lekceważącym świat i jego zwyczaje, a co najgorzej, nie raz trawiącą rozpacz zalewał mocnymi trunkami. Nie był on wcale pijakiem, ale nieraz gdy pojechał do miasteczka, by zalać ciągly niesmak do życia, podochocił sobie, i wieczorem stawał się nawet do

burdy skłonnym. I nieraz w takim stanie, wracając z miasteczka do siebie, wstępował do domu pana Piotra, koło którego musiał przejeżdżać. Łatwo pojąć, co się działo w takim razie z panem Piotrem, któremu to przewracało do góry nogami wszystkie jego zasady przyszłości i towarzyskiej konieczności.

— Żebyć to ja sam był! mówił nieraz Pawłowi po dobremu, ale moja żona, której ciotka rodzona jest księżną....

— A ty gbur....

Był to dzień imienin pani Piotrowej, zwykle obchodzony bardzo uroczystie. Jak zawsze mnóstwo się zjechało gości, a nawet co się po raz pierwszy zdarzyło, przyjechała i księżna ciotka. Pan Piotr jako gospodarz, chodził wyfrakowany i promieniący cały. Jedną go tylko rzecz niepokoiła, a to że nie było dotąd pana Pawła, do którego był tak przyzwyczajony, że bez niego nie było ni zabawy ani przyjemności. Julka z guwernantką, starą panną, która i ojciec i córka tak polubili, że jej z domu puścić nie chcieli — już przyjechała, i oświadczyła, że ojciec później przyjedzie, bo rano dal jakiejś koniecznej sprzedaży wyjechał do miasteczka. Kręcił się pan Piotr, bo już czas było dawać obiad, a chciał by się doczekać kochanego Pawła.

— A księżna ciotka może już głodna — szeptał ciągle do żony.

Pan Paweł w rzeczy samej miał ważny interes do miasteczka, który spodziewał się ułatwić za godzin parę. Lecz interes się przeciągnął, a po spisaniu kontraktu jeszcze dłużej przeciągnął się mohorycz, którego jak mówiłem, pan Paweł nie był nieprzyjacielem wcale. Pamiętny wszakże na dzień tak uroczysty, choć lekko podochocony, dosiadł wreszcie konia, na którym przyjechał i poczwałował do domu. Jadąc z miasteczka do siebie, jechać musiał przez Jarkowce pana Piotra, z kąd owym wózem nam już znanym, miał jeszcze pół godziny drogi do Podjarek.

Przejeżdżając po przed sam dwór, który stał na górze, zobaczył po pojazdach, jak wielki był zjazd, i miarkując, że już późno być musi, mruknął sam do siebie:



— Czy to warto jechać tam i nazad dla przebrania się; z przyjacielem nie będę się przecież żenował!

Zwrócił konia, zajechał, zeskoczył i posunął w prost do sali bawialnej!... w rajtuzach. Na ten widok zbladł pan Piotr, i w pierwszej chwili sam nie wiedział co czynić, lecz gdy się obejrzał, i oko jego padło na księżną ciotkę, zarumienił się po uszy, i nie dopuściwszy nawet Pawła do solenizantki, zatrzymał go w pół sali, wziął za rękę i pociągnął do drugiego pokoju.

— Pawle! co ty robisz? zapytał go.

— Albo co?

— Ty w rajtuzach!

— A prawda! niecheiało mi się jechać do domu.

— Ależ w dzień imienin mojej żony, której!

— A wiem! ciotka jest księżną!

— I sama jest tu!

— Ha tym razem zechce przebaczyć.

— Ale rajtuzy!...

— Nie nudź że mnie!

I chciał wracać do bawialni, lecz Piotr zdesperowany i zaprzony zachodził mu drogę powtarzając:

— W rajtuzach! na miłość Boga! to być nie może.

— Idźże do diabła nudziarzu! przecież rajtuzów nie zrzucę — bo by jeszcze było nieprzyzwoiciej, krzyknął niecierpliwy gorączka.

— Ale w rajtuzach! krzyknął Piotr jeszcze głośnie, i ucierał pot kapiący z czoła.

Drzwi były otwarte, rozmowa głośna, mimika zatrzymującego gospodarza tak dosadną, że mnóstwo ciekawych stało koło drzwi i słuchało. Postrzegł to Paweł, i wpadając w pasję, na co zapewne i mohorycz wpłynął, wybuchnął wreszcie:

— Do stu diabłów!.. cóż to!.. nie chcesz mnie puścić!..

— Nie ciebie, ale rajtuzy!..

— Czyż wypędzasz mnie z domu!..

— Właściwie rajtuzy!

— I to ostatnie słowo twoje!..

— Pawle!.. rajtuzy!.. krzychał zrozpaczony kuzyn dwóch mitr i jednej korony hrabiowskiej.

— Kiedy tak!.. i ja i rajtuzy wynosimy się!.. ale pamiętaj!.. tego ci do śmierci niezapomnę!..

— Pawle! krzychał Piotr.

Ale Paweł już był za drzwiami, które zatrzasnął i wściekły pojechał do domu, bijąc się z rozmaitemi myślami zemsty.

Piotrowi się już przykro zrobiło, ale cóż miał robić, przecież rajtuzy na przeciw mitry stawiać nie mógł. Zasiadli wreszcie wszyscy do stołu. W tym trzask z batoga; patrzą w okno, wjeżdża karetą sześciu końmi zaprzężona z forysiem na przedzie. Piotr się zrywa; może druga mitra przybyła? Tymczasem z powozu wyskakuje pan Paweł, wyfrakowany i ułkawkiczkowy, w trzewikach i pończochach. Pan Piotr chce go uściskać, rad temu, że Paweł żartem niby chce się zemścić. Ale twarz Pawła nie do żartu wcale! czerwony na twarzy, z zaciśniętymi zębami odepchnął pana Piotra, wszedł do pokoju i w swej pasyi, a może i w skutek butelki wina, którą w domu ze złości wypił, stanawszy przed stołem tak się ozwał:

— Pan Piotr trzydziestoletniego przyjaciela wypędził z domu, dla tego, że przyjechał w rajtuzach. Odtąd nie może być nie między nami wspólnego. Przyjechałem tedy zostawiwszy rajtuzy w domu, aby powinszować solenizantce, którą wielce szanuję, przeprosić księżną ciotkę, zabrać córkę i oświadczyć, że odtąd między nami wszelkie stosunki zerwane. — Obskoczyli go córka, Stanisław, pani Piotrowa — tylko pan Piotr, którego zmysł przyzwoitości jeszcze więcej tą sceną był urażony, niżeli samemi rajtuzami, stał na boku. Nie nie pomogło, odepchnął on wszystkich i wrócił z córką do domu, a trzęsąc się ze złości, krzychał do córki:

— Syn tego próżnego durnia nigdy nie będzie twoim mężem!

VI.

I pan Piotr i pan Paweł za dni parę serdecznie żalowali tego co się stało, ale nie chcieli się do tego przyznać, i ani jeden, ani drugi pierwszego kroku zaczynać nie chciał. Stanisław wprawdzie przyjechał do Podjarek; ale mimo płaczu córki, który mu krajał serce, nagonił go pan Paweł. I pani Piotrowa nie nie wskuriała. Uparł się szlachcic i ze złości więcej do kufła zaglądał, a zły na siebie i świat cały, miotał nieraz najokropniejsze przekleństwa.

Im dłużej się niewidzieli, tem było przykrzej obu przyjacielom; właśnie ta przykreść zwiększała jeszcze upor i zawziętość. Jak na toż zaszły jeszcze inne drobne okoliczności.

W wąwozie, o którym mówiliśmy, stały obie wsie i stykały się prawie, a granice stanowił mały potok, na którym był mostek. Mostek był tedy graniczny i z dawna było w zwyczaju naprawy mostu odbywać zwyczajnym szarwarkiem i kosztem. Teraz ani jeden, ani drugi nie brał się do naprawy i przejazd potrzebniejszy dla Podjarek niżeli dla Jarkowiec był tak zepsuty, że razu jednego jadąc do kościoła, Julka załamała się na mostku i wyskoczywszy trochę się potłukła.

— On to mi na złość zrobił, krzyczał pan Paweł. On niby nabożny, a radby żebyśmy karki pokręcili.

Ktoś doniósł panu Piotrowi, że pan Paweł się odgrażał, a że ludzie wszędzie radzi cudzym kłótniom, więc ktoś drugi powiedział znowu panu Pawłowi, że pan Piotr drwił sobie z jego gniewu.

— Niech się strzeże ten pobożny hypokryta, bo kiedyś jak go zdybię w miasteczku, takie mu sprawię dignens, że ruski rok pamięta. A i tak nieraz mnie taka porywa pokusa, że się ledwie od niej wstrzymać mogę.

Nagle uśmiechnął się, jakaś nowa myśl mu do głowy przyszła, klasnął w dłonie i zawołał:

— Wiem co zrobię, aby się wstrzymać od pokusy!

W kilkanaście dni z niemałym zadziwieniem pan Piotr przez gwardyana Bernardynów z sąsiedniego miasteczka i przez własnego księdza dostał wezwanie na ceremonję nabożną wkopania figury, którą na granicy zafundował pan Paweł.

— O jeszcze co się stało!.. rzekł pan Piotr. Nawrócił się czy co? Daj Boże.

I westchnął biedny pan Piotr za dawnym towarzyszem, którego mu brakowało na każdym miejscu.

Na dzień naznaczony zjechali się księża i zeszyły gromady do cerkwi pana Pawła. Przybył i pan Piotr. Paweł udawał, że go nie widzi. Uderzono w dzwony. Procesya wyszła z kościoła; na wozie wieziono ogromny krzyż. Wśród śpiewów i błogosławieństw, nad samym strumykiem wznosił się nagle krzyż osłonięty jeszcze jakąś płachtą. Gdy ją zrzuciono, okazał się na krzyżu ogromny napis złotymi literami. Napis brzmiał ustępem z Ojezenaszu:

„I nie wodź nas na pokuszenie!“

Zrozumieli obecni szyderskie znaczenie tego napisu i aby je uwydatnić, pan Paweł spojrział kpiąco na pana Piotra i donośnym głosem wypowiedział ten sam napis:

— I nie wodź nas na pokuszenie! powiedział i słowom towarzyszył gest groźny aż nadto zrozumiały.

Pan Piotr spuścił oczy, siadł na bryczkę i ciągle powtarzał przez drogę:

— Bezbożnik!.. i to umyślnie!.. aby mnie drażnić; ale ja mu tego nie daruję.

W tydzień potem, pana Pawła zdybało podobne wezwanie na nabożeństwo i procesyę w cerkwi Jarkowieckiej. I znowu było nabożeństwo uroczyste, znowu procesya, śpiewy, dzwonenie i błogosławieństwa. I na drugiej stronie strumienia naprzeciw tamtego krzyża wznosił się krzyż drugi. A gdy go odsłoniono, okazał się napis złotymi literami:

„Ale nas zbaw ode złego Amen!“

Na tekst z ojezenaszu w odpowiedzi był drugi sąsiedni tekst z tegoż ojezenaszu.

I dla lepszego zrozumienia myśli, pan Piotr wysunął się na przód uroczyście i poważnie, i wygłosił najdobitniej spoglądając na pana Pawła:

— Ale nas zbaw ode złego Amen! !

A dla większej dobitności, wyrzekłszy te słowa, pan Piotr zrobił znak krzyża świętego w kierunku pana Pawła, jakby się chciał od niego odkrzyżować.

W taki sposób rozmówili się między sobą, rozniewani szlachcice!.. z czego naturalnie w sąsiedztwie nie mało było śmiechu. Krzyże te z temi napisami po dziś dzień istnieją, świadcząc o dziwacznej szlacheckiej zawziętości.

## VII.

Przez dni kilka cieszyli się Piotr i Paweł z swoich conceptów, mianowicie tem, że jeden drugiemu dopiekł i przymówił doskonale. Lecz gdy pierwsza uciecha minęła, jak jeden tak i drugi zapadli nazad w najgorszy humor, jaki ich nie odstępował od owej sprawy rajtuzowej. Jeden bez drugiego obejść się nie mogli, i jeden jak drugi za własne winy mścili się nie tylko na sobie, ale i na otaczających. Pan Piotr stał się w domu jeszcze nudniejszy, a pan Paweł gwałtowniejszy. Pan Piotr cały dzień jeżeli nie zrzedził, to się modlił, a pan Paweł jeżeli nie lajał, to cały dzień przeklinał wszystko w kolo siebie.

Biedni młodzi kochankowie najgorzej na tem wychodzili. Kochając się szczerze, cierpienie ich i tęsknota były bez granic. Dzięki pani Pawłowej i poczciwej guwernantee, widywali się czasem ale ukradkiem.

Lecz czy kto ojcom doniósł o tem widzeniu, czy się tylko domyślali, pan Piotr razu jednego rzekł do syna z niezwykłą sobie gwałtownością:

— Ja nie chcę, abys bywał w Podjarkach! ja ci zakazuję pod błogosławieństwem. Ten furfant libertyn będzie myślał, że ja się dobijam o związek z nim. Ja nie chcę jego ani jego córki!.. chyba!.. A potem inne mam projekta!.. Księżna ciotka proponuje mi właśnie bardzo stosowną partyę. Ty się musisz żenić!..

— Ale ja nie chcę! odrzekł Stanisław.

— Ja każę!

— Wolno, ojeu rozkazywać!.. a mnie wolno w leb sobie wypalić!

— Kara Boża! mruknął przestraszony pan Piotr, i porwał za książkę do nabożeństwa.

Tak samo pan Paweł z największą wściekłością, powiedział córce:

— Jak mi tu kiedy się pojawi ten... syn tego bigota, hipokryty, to go psami wyszczuć każę i w leb mu sam palnę!

Julka odpowiedziała łzami:

— Przystań beczyć!.. krzyknął pan Paweł; mam inną i lepszą partyę dla ciebie!

— Ale mój ojeze! twoje słowo!..

— On go pierwszy złamał dla głupich rajtuzów!.. Ja przecie do niego nie pójde! do stu tysięcy diablów!.. Żebym przepadł! żeby mnie wilcy żywcem rozszarpali!

— Ojeze drogi, nie przeklinaj się! na miłość Boga!..

— Pójdiesz za męż — za pana Eufrazego, i kwita!..

Pan Eufrazy był stary kawaler bogaty, któremu brakowało piątej klepki w głowie i kawałek nosa.

— Ja za niego nie pójde!..

— Musisz!.. bo ja każę!..

— Dobrze ojeze!.. tobie wolno kazać, a mnie wolno.... umrzeć!.. odpowiedziała dziewczyna polykając łzy z całą energią silnego charakteru.

Zdziwiony i może wzruszony popatrzył ojciec na córkę i zdrzał mimowolnie. Po raz pierwszy spostrzegł na jej twarzy okropną zmianę. Znikły dawne rumieńce; Julka była blada, zmieszana.

Wyleciał pan Paweł z pokoju córki, i ... co mu się teraz coraz więcej trafiało, w trunku chciał utopić dopiekającą mu zgryzotę.

— Było to na początku zimy, która tego roku wcześniej się zaczęła i była ogromnie zawalną. Już w grudniu pola i drogi zasypane były śniegiem; ciągle prawie zawierzuchy zasypywały wszystkie drogi, tak, że mało kto mógł i chciał z domu wyruszyć, tem więcej, że rozchodzily się w okolicy wieści o wilkach, które całemi stadami włóczęą się po polach głodne i zajadłe, a tak zuchwale, że były już wypadki napadów śmiałych rozciągających się aż do wiosek. Gdzieś tam w szopie przy chałupie parę koni zajedli. Gdzie indziej znowu, jak mówiono, chłopą wracającego z jarmarku z żoną, dognali pod samą wsią i o kilka kroków od ludzkich pomieszkań pożarli. I z tego to zapewne powodu pan Paweł w pasy mówiąc do córki, zaklął się na wilki.

Nadeszła wreszcie wilija Bożego Narodzenia. W obu dworach nie było zwykłej wesołości. Dawniej rok rocznie wiliję i święta oba dwory obchodzily razem. Jednego roku zjeżdżali się u pana Piotra, drugiego u pana Pawła. A teraz!.. Pan Paweł nie mówił ani słówka, ale wstawszy tego dnia raniutko, chodził po pokoju jak zwarzony; na miejscu nie mógł wytrzymać. Nareszcie kazał konie zaprządz, i okutawszy się w niedźwiedzie już wychodził do sanek, kiedy mu córka drogę zasła.

— Ojeze kochany!.. przecież dziś choć my razem będziemy.

Pan Paweł dobrze zrozumiał te słowa, i odmruknął szybko:

— Ja tylko pojedę odwiedzić gwardiana i wrócę na oplatek!..

Julka westchnęła; chciała może co więcej powiedzieć, ale się powstrzymała, i tylko wskazała ręką na podwórze.

— Ojcie drogi, taka zawierzucha!.. koni nawet nie widać!.. tak micie śniegiem.

— Tylko milka drogi!.. sanki lekkie!.. Ignacy i ja znamy drogę doskonale!..

— Ojcie!.. nie jedź proszę cię!.. Niewiem co mi jest, ale jestem bardzo niespokojną!.. mówiła Julka, i porwała ojca za rękę, by ją ucałować.

— Nie bądź głupią moja Julciu!.. odpowiedział ojciec, niechcący się przyznać do wewnętrznego wzruszenia, bo i jemu w tej chwili dziwnie było przykro.

— Ojcie!.. przemówiła jeszcze Julka, ale ojciec odsunął ją, pocałował w czoło, i rzekł przymuszając się do uśmiechu:

— Wcześniej wróć!.. niechaj czeka na mnie opłatek z miodem i mój lin faworytalny.

To rzekłszy skoczył do sani. Ignacy kiwnął głową, ruszył ramionami i zaciął konie. Zahuczało na dworze; konie zawracały na gwałt do stajni; a w samej już bramie tak sanie zawadziły o źle otwartą bramę, że się omał nie wywróciły.

Julka to widziała i krzyknęła:

— O mój Boże, ja się obawiam nieszczęścia!

Rozplakała się rzewnie, i rzuciła w objęcia tulącej ją do piersi guwernantki.

### VIII.

Pan Paweł miał serdeczną ochotę powrócić, ale jak to się zwykle dzieje przy podobnie jak jego burzliwym usposobieniu, oparł się przeciw własnej chęci sam sobie na złość. Przejeżdżając koło samego dworu pana Piotra, spojrzął ku dworowi, i w pasy pięście ku niemu wyciągnął.

— Wszystko to przez tego bigota!.. mruknął sam do siebie; klepie pacierze, aby mógł tumanić!.. a Boga niema w sercu!..

Mimo burzy, która się srożyła, mimo ogromnych zadymek, zjechał szczęśliwie do miasteczka i wysiadł przed klasztorem. Zma-



rznięty i zły wypił po przywitaniu z gwardyanem parę kieliszków wódki. Podano śniadanie. Pan Paweł przymuszał się widocznie do weselości. I w końcu przemógł wewnętrzny niepokój, zaczął śmiać się i żartować, ale widocznie tak nienaturalnie, że ksiądz gwardyan nieraz potem powtarzał, że mu zaraz ten sztuczny humor pana Pawła nie podobał się, i był mu czegoś przykrym.

Mimo całej gościnności, ksiądz gwardyan kilka razy z lekka napomykał, że taka na dworze zawierzucha, że pod noc będzie jeszcze gorzej, że w taki dzień nie można się puszczać w drogę, skoro zmierzchnie; a nawet wspomniał o Julce zapewne niespokojnej. Pan Paweł słuchał i nawet nie zżymał się, tylko czasem zęby zacisnął, jakby go co srodze zabolalo.

— Widzę, że się chcesz mnie pozbyć gwardjanie!..

— Nie! ale córka — i zawierzucha!..

— Daj no jeszcze tego miodku kapuceyńskiego, księżuniu; palnę szklaneczkę i pojadę sobie.

Miodek był wyborny. Pan Paweł wypił kilka lampek i stawał się coraz weselszy, jeżeli można było weselością nazwać to jego widoczne pasowanie się z samym sobą. Dosyć, że już zmierzchało, gdy się zebrał do wyjazdu. Już dawno taka była burza, i wiatr dął właśnie w same oczy, że choć oczy wykół; o dwa kroki nie było widać. Gwardyan się na prawdę przestraszył i jął zaklinać gościa, by się nie ryzykował, żeby pozostał na noc w klasztorze.

— Nie mi się nie stanie do stutysięcy diabłów!.. chyba, że mnie przeklął ten jezuita w kapocie, jeżeli mnie widział z góry, jak jechałem tu z rana.

— Pan Piotr jest na prawdę nabożny!.. wtrącił ksiądz gwardyan. Jeszcze perswadował gwardyan, ale widząc, że nic niepomocze, zrobił znak krzyża świętego i rzekł:

— Ha, kiedyś się uparł, to jedź w imie Boże!

— Ruszaj Ignacy! krzyknął pan Paweł siadając do sanek.

Z miasteczka wyjechawszy szło jeszcze jako tako, bo droga była więcej utarta, i odznaczona dosyć wysokimi okopami. Potem

przejeżdżało się przez lasek, gdzie było już ciemniej. Lecz gdy z lasu wyjechali na step, noc zupełnie już zapadła, a burza się srożyła w sposób niezwykły. Wycie wiatru, sypanie śniegu w same oczy odurzało nietylko furmana, ale i same konie, które szły jak błędne. W niektórych miejscach zapadały konie po brzuchy, i ledwie krok za krokiem ruszyć się mogły.

— Popędzajże konie do stu diabłów!.. zakrzyknął pan Paweł.

— Na miłość Boga! nie wspominaj Pan diabłów! przemówił Ignacy głosem, w którym się strach malował.

niac — Głupiś!.. popędzaj konie!..

— Ale bo to w taki dzień święty!.. mruczał Ignacy dzwoneczkami.

Sanie coraz częściej zapadały, konie walily się jeden na drugiego, a zawierzucha srożyła się coraz silniejsza.

— Panie!.. nagle zawołał furman przerażonym głosem, czy słyszy Pan?..

— Cóż takiego?..

— Wyje coś panie!..

— Ta wyje gamoniu zawierzucha!..

— To nie zawierzucha!.. oj nie!.. Patrz pan tam na prawo jak się świecą!..

— W twojej głupiej głowie! to śnieg się świeci!..

— Oj nie, panie, to nie śnieg się świeci, to nie zawierzucha wyje!

Panie Boże zlituj się nad nami! to wilki!..

Rzeczywiście mimo huku burzy, od czasu do czasu odzywały się z dala jakieś głosy dzikie, przeraźliwe, choć jeszcze nie wyraźne, a co gorzej, że i konie zaczęły się widocznie niepokoić i płoszyć.

— Jezus Marya! krzyknął Ignacy, zjechaliśmy z drogi!

— Ażeby cię diabli wzięli!

— Bij pan! ale diabła nie przyzywaj!

— Zwróćże na prawo!

— Ja już sam nie wiem!.. ja nie nie widzę!

Pan Paweł obejrzał się, i przekonał się po zmianie kierunku wiatru, że w rzeczy samej zblądzili z drogi. Sanie zaczęły się przewracać to na jedną, to na drugą stronę, i podskakiwać nierówno. Pan Paweł coraz niespokojniejszy, stanął na saniach i zaczął się oglądać, lecz cóż można było widzieć przy huku burzy i w taką zamieć. Przez krótką chwilę zawierzucha zdawała się przycichać, ale to dla tego tylko, by zawyc na nowo jeszcze wścieklej. I jak na wtór, inne głosy zaczęły się odzywać coraz donośniejsze, coraz bliższe. Tu już nie było wątpliwości; to były wilki.

— Boże! zmiluj się!.. Boże ratuj! Jezus Marya! krzyczał Ignacy, który ze strachu przytomność prawie tracił, a drzał tak widocznie, że mu lejee z rąk wypadły.

— Ażeby cię! zakrzyknął pan Paweł, ale się tym razem powstrzymał od przekleństwa, bo sam naprawdę doznawał drżączki strachu. Siadaj do sani! ja sam będę powoził.

## IX.

I silną ręką rzuciwszy Ignacego do sani, sam porwał lejee, i biczem smagnął konie. Nie trzeba ich było popędzać, one same biegały jak szalone, gnane strachem instynktowym. Wycie wilków było co raz wyraźniejsze, straszne, długie, przeciągłe. To była widocznie pogoń całego stada wilków! Ignacy odmawiał pacierze, jakie tylko umiał. W tem sanie uderzyły jednym bokiem o coś twardego, omal się nie przewróciły.

— To musi być kopiec Zahajeski!.. ozwał się pan Paweł; droga zdaje się idzie w dół!.. zaraz wyjedziemy do naszego jaru... wbiegniem do pierwszej lepszej chałupy!..

— Na prawo! panie! na prawo!.. jeżeli droga w dół, abyśmy nie wjechali w wilcze jamy!..

— W wilcze jamy!.. powtórzył pan Paweł drżącym nieco głosem.

Żeby zrozumieć przestрах obydwóch, uprzedzam, że tak się tam nazywał jar wązki, cały kamieniami skalistymi zasypany, który

przerzynał na wszerz główny jar, i którym ni ścieszkami, ni wózkiem, ni konno, ni nawet pieszo bez szwanku przejść nie było można, tak był ciasnym i przepaściście porozrywanym. Dla czego ten jar nazywano wilczemi dolami, nikt z pewnością nie umiał powiedzieć. Było tylko w okolicy podanie ludowe, jak często się dzieje w podobnych podaniach, do bajeczki podobne.

Przed laty mnogiemi miał w lesie sąsiednim mieszkać zbój, który własnego ojca zabił, i prócz mnogich rozbojów wiele okropnych popełnił krzywoprzysięstw. Stał on się po tem wilkołakiem, to jest przerzucił się w wilka, i jako taki zamieszkał ów jar skalisty, w którego dołach się chował, i z tamtąd zwabiwszy do siebie całe stada wilków, odbywał napady, które co roku miały ludzkie zabierać ofiary. Dodawano, że najpierwszemi ofiarami pokutującego tym sposobem wilkołaka, byli ci wszyscy, którzy przysięgą lub zaklęciem nadużywali imienia Boga.

Pan Paweł nie wierzył zapewne w bajkę, ale od dziecka przyzwyczaił się niejakiś przecie do niej przykładać znaczenie, i w tej chwili wyobraźnia jego trunkami rozegrzana przywiodła mu mimowolnie na pamięć mnogie przekleństwa, które nieraz wypowiadał. Lecz tu nie było czasu nad tem się zastanawiać, bo niebezpieczeństwo było groźące, i tylko instynkt ratunku mógł w myśli przeważać.

— Nie! to droga do wsi!.. rzekł Paweł chcąc raczej siebie niżeli furmana przekonać.

Kilka sekund trwało milczenie, przerywane przez Ignacego modlitwami, gdy nagle głosy dzikie wilków ozwały się tuż za saniami. Ignacy był tak bezprzytomny, że ledwie już siedział na saniach, i tylko konwulsyjnym dzwonieniem zębów dawał znaki życia. Pan Paweł obejrzał się, i mimo zawieci, która się franką śniegową w koło zasuwiała, ujrzał przez mgłę białą migające ciemniejsze zarysy. To były wilki goniące w pełnym pędzie, ledwie o pięćdziesiąt kroków odległe. Konie bokami robiąc, uciekały wiatru pędem, ale i wilki w gwałtownych zbliżały się susach!.. Droga była co raz więcej spa-

dzista — byli widocznie w jarze, lecz w jakim, Bóg to jeden wiedział.

Nowe gwałtowne uderzenie sani tak je przechyliło, że kilkanaście kroków leciały na jednej sanicy. Ozwał się krzyk jęklivy. Pan Paweł się obejrzał, Ignacego nie było na saniach!.. snąć strachem sparaliżowany wyleciał. Zatrzymać się było niepodobna; a może w tej chwili przemknęło uciekającemu przez głowę, że kosztem Ignacego niebezpieczeństwo odsunęło się od niego, a przynajmniej, że zyskał na czasie. Nowy jęk okropny, przeraźliwy przymusił go do odwrócenia się, i widział, jak w dzikich susach zbiegły się wilki w jedno miejsce, i zdało mu się słyszeć szczękanie ich zębów wkuśujących się w ciało biednego furmana; konie zdawały się to rozumieć zwierzęcym instynktem, i ostatnich dobywali sił w tej okropnej gonitwie. Mimowoli oglądnał się pan Paweł, i w pierwszej chwili zdało mu się, że wily zadowoleni żerem, dali pokój dalszej pogoni. Już chciał wolniej odetchnąć, gdy nagle ujrzał przez śniegową firankę dwa cienie. Nie było żadnej wątpliwości, były to dwa wilki oderwane od stada; jeden dalej trochę, a drugi na przedzie, szalonymi sadył skokami. Zdało mu się, że widzi parę wychodzącą z paszczeki, i słyszy jego sapanie dzikie. Już był kilkanaście tylko kroków odległy, a wydał się panu Pawłowi niesłychanie wielki. Przestрах jego potęgował się do szaleństwa prawie.

— To wilkołak!.. przemknęło mu przez myśl, i odwaga zaczęła go odstępować.

## X.

Przez ten czas, ledwie nie o tej samej chwili inna wcale smutna odbywała się scena w dworze Podjareckim. Gdy się zmierzchać zaczęło, niespokojność biednej Julki wzmagala się tak bardzo, że co chwila to do okna biegła, to na dziedziniec wychodziła. Łzy jej stygły i marzły, a serce gorączkowym tłuło się po piersi biegiem. Właśnie była na dziedzińcu, gdy nagle coś zamajaczyło przy bramie, usłyszała chrapanie konia, i tuż przy niej stał jezdziec jakiś.

- Juljo! to ty? ozwał się głos znajomy.
- Stanisławie! zawołała dziewczyna na poły przerażona, na poły zadziwiona, ale mimowolnie na widok młodzieńca otucha jakas wstąpiła jej do serca.
- Teraz dowiedziałem się, że twego ojca niema w domu, i przyleciałem!.. bo..
- Możesz widział ojca!.. może wiesz co okropnego!..
- O ojcu? nie!
- Ja drzę cała!.. ta zawierzucha!.. wręście wilki!..
- Ojciec za nadto dobrze się bawi u gwardiana, by się puszczał w drogę!..
- Dał słowo, że wróci na opłatek!..
- Smutny nam opłatek tego roku!.. moja Juljo!.. O ojca bądź spokojną, i chodź do pokoju, i posłuchaj mnie przez chwilę.
- Konia przyczepił do ganku i weszli do pokoju. Stół był przygotowany do wili; smutno wyglądały trzy nakrycia na wielkim stole, gdzie jeszcze przed rokiem zasiadało o tym czasie tak liczne a wesole towarzystwo. Julka westchnęła głęboko.
- Juljo!.. nie mamy czasu do stracenia. Chcesz być żoną moją?..
- Czy ja chcę?
- Mamy trzy dni czasu!.. Ojciec powiedział mi, i przysiągł najuroczyściej, że zaraz po świętach muszę z nim jechać oświadczyć się i żenić!..
- A pan Stanisław?..
- Julko!.. po co takie pytanie?.. w takiej chwili!..
- Daruj Stasiu.
- Znam moje serce i moją miłość. Ja się nie oświadcę, i nie ożenię.. ale w łeb sobie wypalę!
- Stanisławie! krzyknęła dziewczyna.
- Przysięgam ci!.. z niezmiennem postanowieniem nabilem pistolety, które mnie odtąd nie odstępują!..

— I ty mnie to mówisz?.. chcesz więc i mnie zabić? Dobrze!.. Wszakże i tak czuje ja, że ciągle zgryzoła i rozpacz — śmiertelnie się wpiły w serce moje.

— Słuchaj moja najdroższa. Jest jeden ratunek!.. Pojutrze!.. będę czekał na ciebie i pannę Genowefę (to było imię guwernantki) na dole na drodze z powozem do dnia!.. znakiem będzie trzykrotne klasnięcie biczem!.. Za trzy godzin będziemy u wuja Józefa, który dla mnie wszystko zrobi. Sam z żoną odwieżą cię za granicę, gdzie mieszka nasz krewny kanonik w Krzemieńcu, który da nam ślub.

— Stanisławie!.. i ty mnie radzisz uciekać z domu ojcowskiego!.. nie, nigdy!..

— Moja matka wie o tem, i dla pozoru nie chce się w to wdawać. Po ślubie mój ojciec przebaczy, i twój ojciec przebaczy także.

— Ale ja sobie nie przebaczę!.. Mój ojciec powiadasz przebaczy!.. ty nie wiesz Stasiu, że jeżeli co jeszcze wstrzymuje go od zupełnego oddania się ... rozpaczy!.. to ja tylko!.. Moja ucieczka mego ojca zabije... dodała z ciężkiem westchnieniem i nie bez wahania — najprzód moralnie a potem fizycznie. — Chceszże Stasiu, żebym zamordowała własnego ojca!..

— Więc chcesz mojej śmierci!.. ja przysięgam!..

— Nie przysięgaj! na miłość Boga!.. krzyknęła Julja, i rączkę przyłożyła do ust Stanisława, który tę rękę z namiętnością porwał i okrywał pocałowaniem.

— Juljo! czy przysięgnę czy nie! ja twej straty nie przeżyję...

— Stanisławie! ty jesteś bez litości!.. Ja ciebie tu słucham, a ty nie wiesz, co się dzieje w mojem sercu i nie domyślasz się nawet, że ja w tej chwili czynię sobie wyrzuty, że mówię z tobą!..

— Że mówisz ze mną!

— Bo mi głos jakiś tajemny szepta do serca, że mój ojciec teraz w niebezpieczeństwie być może... a jego córka z koehankiem układa plany ucieczki!..

— Uspokój się Julko!.. cóż twemu ojcu stać się może?

— Znasz mnie Stanisławie!.. że się próżnym nie zwykłam oddawać urojeniom!.. ale ci przysięgam, że zdaje mi się widzieć.. ojca!.. ha! — krzyknęła przeraźliwie... to okropny widok!.. Stanisławie wierzaj mi... jemu trzeba ratunku prędkiego... prędkiego ratunku.

Egzaltacya Julii była tak silna, że Stanisław zadrzał mimowolnie i przez chwilę zawahał się w postanowieniu namawiania Julii do ucieczki.

Panna Genowefa, która siedząc na stronie słuchała całej rozmowy, zrozumiała pocziwem sercem całe położenie i starała się korzystać z zawahania się Stanisława. Przedstawiła mu, że są przecież inne środki... że może udać chorego.. by nie jechać z ojcem; że trzeba się spuścić na czas, że ona myśli, i ma przeczucie, że jest tego prawie pewna, że ta nieprzyjaźń ojców musi się zmienić. Że gdy już wszystkie inne środki nie pomogą, będzie dosyć czasu uchwycić się takiej ostateczności, jakaby była dla Julii ucieczka z domu ojcowskiego. Że w takim razie ostatecznym ona sama pomoże z panią Pawłową.

Stanisław chciał jej przerwać, lecz panna Genowefa nie dała mu przyjść do słowa.

— W tej chwili najważniejszą jest rzeczą uspokoić to biedne dziecko. Popatrz panie Stanisławie! jak wygląda!..

W rzeczy samej biedna Julja wyglądała okropnie. Twarz jej była blada; tylko dwie plamy jakby krwawe paliły się na zapa-dłych licach; a oczy jej biegały w koło gorączkowym ruchem.

— Ona jest niespokojną o ojca!.. i kto wie, czy nie ma słuszności. Może obawa płonna... ale już by to ją uspokoiło, gdybyś panie Stanisławie wyjechał naprzeciwno. A kto wie, może to Boże natchnienie.

— Stasiu! błagam Cię!..

— Ale potem, przemówił Stanisław, rozczulony widokiem zrozpaczonej!..



— Wierz mi panie Stanisławie, przemówiła znowu zająca stara panna, że nikt sobie tego tak nie życzy, byś był mężem Julki, jak ja... i ona... Jedź teraz i uczyni zadość jej miłości i mojej serdecznej życzliwości.

— Stasiu, jak mnie kochasz! rzekła jeszcze Julka i porwawszy go za rękę, ciągnęła do ust, by ją ucałować.

— Ją! zawołał Stanisław, ale!..

— Bez ale panie Stanisławie!..

Dobrze; tu przerwała Julka pocałunkiem skromnym choć serdecznym, którym mu usta zamknęła. I wypchnęły go obie za drzwi.

Stanisław dosiadł konia i pogonił za bramę.

Biednego pana Pawła zostawiliśmy w chwili bardzo krytycznej. Parę chwil minęło, w których widocznie mąciło się przestraszonym w głowie. Machinalnie popędzał konie, i ostatkami siły trzymał się sani, które ciągle w szalonych podskokach przechylały się to na jedną to na drugą stronę. I machinalnie nadstawiał ucha; sapanie o tonach okropnie świszczących bieżącego na przedzie wilka stawało się coraz bliższe. Rozpaczliwie szukał pan Paweł po głowie ratunku. I nagłym rzutem zrzucił z siebie niedźwiedzie, które i tak mu ciężyły, bo mimo przenikliwego zimna pot lał mu się z czoła, i dreszcz przenikał całe ciało. W rzeczy samej była to zyskana chwila! Chwila jedna, ale krótka! Wilk, którego ruchy widział już coraz wyraźniej, zrzucił się na spadające niedźwiedzie, i z wściekłością jął je drzyć zębami aż podskakiwały na śniegu. Lecz snąc się przekonał o zdradzie, bo nagle zaszczeakał paszczeką i zębami, i nowym ogromnym skokiem zrzucił się w pogoń.

— Nie ma ratunku! dzwoniło biednemu w saniach; i postrach jego był tak wielki, że mu włosy do góry wstawały. Resztę dokonał rzut gwałtowny sani. Czapka zleciała mu z głowy.

I w tej chwili wraz z zimnym wiatrem obwiało go coś gorącego. To był oddech parą buchający dzikiego zwierza, który już sani doganiał. Parę szybkich uderzeń serca przeminęło, i ten po-

wiew stał się gorętszy, i przy przypadkowym zwrocie sani ujrzał dziki i zajadły wzrok wilka; zdało mu się, że widzi lyskawicę w krwistej chmurze. Wilk już przednimi nogami sadził na sanie.

W tej chwili najwyższej rozpacz, kiedy umysł pana Pawła dotykał już szaleństwa, ostatnia zda się przelysnęła mu myśl cała i pełna do głowy jakby na pożegnanie odstepującej go przytomności.

Wzniósł oczy do góry, i w pełny głos zakrzyknął:

— Boże!.. w tobie jedyna nadzieja!.. przebacz i ratuj!..

Ledwie wyrzekł te słowa, uczuł ból w karku; to pazury wilcze przez suknie wcisnęły mu się w ciało. W tem nagle coś zamajaczyło z boku!.. padł strzał jeden, za nim drugi!.. Pan Paweł uczuł, jakby coś ciężkiego oderwało mu się od karku. I w tej chwili konie w szalonym pędzie podskakując ostatkiem konwulsyjnego napięcia, sadziły pod jakąś górę stromą.

To były dwa ostatnie objawy świadomej przytomności. Reszta wszystko zdawało mu się przemykać koło niego w jakimś chaotycznym bezładzie, jakby w sznie gorączkowym. Sanie o coś uderzyły; konie stanęły, i widział przed sobą oświecone okna. Machinalnie zeskoczył z sani, i szedł do oświeconego domu, niewiedząc gdzie jest. Przemknęła niewyraźna myśl o własnym domie. Szedł więc prosto ku drzwom, i usłyszał jakiś śpiew prosty, ale właśnie dla tego pelen harmonii uspakajającej. To była jedna z kolend zwykłych naszych. Ta kolenda, która mu przypomniła i ten dzień uroczysty, i te wszystkie pamiątki drogie, rodzinne, które w polskich sereach łączą się zawsze z tą uroczystością. Mimowolnie łza zmoczyła mu powieki. To był pierwszy pojaw budzącej się przygasłej przed chwilą przytomności. I w tej łzie, co mu do oka wybiegła, dobyła się zarazem myśl dziękczynna za cudowny ratunek.— Otworzył drzwi prowadzące do pokoju.

## XII.

W wielkiej izbie, starym obyczajem stały w kątach snopki rozmaitego zboża. Stół wielki bielił się czystym jak śnieg obrusem,

z pod którego wyglądała także słoma ze snopków na pół z sianem przemieszana. Na stole leżał w rozmaite zygzaki wykrojony strucel ogromny. Niedaleko stołu stał pan Piotr z żoną i przybyłą na święta siostrzenicą swoją zamezną i dwie córek panienek dorodnych, i para jeszcze młodszych dzieci, zajętych w drugim kącie przypatrywaniem się prostym jasełkom, które paniątkom przynieśli trzej pastuszkowie dworscy, ruszając drewnianymi figurkami, czemu od czasu do czasu wtórowali śpiewem kolendowym.

Był to śliczny obrazek domowy, warty płótna i mistrza, obrazek cudowny choć nie holenderskiej, ale naszej poczciwej, serdecznie nam drogiej polskiej szkoły.

Pan Piotr usłyszawszy otwierające się drzwi, porwał za talerz z przygotowanymi opłatkami bliźniakami, słodkim miodem polepionymi i rzekł do wchodzącego:

— A gdzież tak długo siedział Stasiu! już tylko na ciebie czekaliśmy. I oboje z matką szli ku drzwiom. Podnieśli oczy i wchodzący pan Paweł spojrział przed siebie i razem ozwały się trzy krzyki!

— Pan Paweł! zawolali zdziwieni Piotrostwo.

Pan Paweł przyszedł w tej dopiero chwili do zupełnego upamiętania. Obejrzał się, ale już przestał być zdziwiony!

— To mnie Bóg sam przyprowadził tu!... wyrzekł głosem rozrzuwionym. W jaki sposób! On jeden wie... Niech mu będą dzięki serdeczne!..

— Piotrze!..

— Pawle!.. krzyknęły razem dawni przyjaciele.

I już leżeli w własnych objęciach dawni przyjaciele, i już płakali obydwa jak małe dzieci. Po kilkukrotnych uściśnieniach przyszło dopiero do zapytań: co? jak?

Wchodzący w tej chwili Stanisław, wiedział tylko o końcu katastrofy i co wiedział, to opowiedział. Jadąc jarem drogą do miasteczka prowadzącą, gdy się zbliżył do owego jaru zwanego wilcze-

mi dołami, który jak mówiliśmy przerzynał główny jar, zdało mu się, iż słyszy jakieś głosy dzikie wyjące, które wiatr przenosi gardłem ciasnego jaru. Zwrócił konia w kierunku, z kąd pochodził i ujechawszy Bóg wie jakim cudem po przepaścistym jarze kilkanaście kroków, usłyszał tuż koło siebie słowa modlitwy wyrzeczone przez pana Pawła w chwili najwyższego niebezpieczeństwa. Przyskoczywszy bliżej, ujrzał jak wilk już łapą szarpał pana Pawła. Dobywszy pistolety, które miał przy sobie w olstrach, strzelił raz po raz mierząc w głowę i piersi wilka, który padł trupem. Ledwie się to stało, konie zerwały się i dzikimi skokami posunęły pod ogromną górę jaru, i leciały tak prędko, że ledwie za nimi mógł zdążyć pan Stanisław, niewiedząc sam w taką zawieruchę, gdzie się właściwie znajduje. Instykt koni prowadził ich przez pole po za gumna do bramy dworu. Niewiedząc, gdzie się pan Paweł podział, koń Stanisława tą samą zapewne drogą przywiódł go do dworu.

— Więc ty jesteś moim wybawcą! zawołał pan Paweł i serdecznie uścisnął młodzieńca, obejrzawszy się przez zapomnienie, jakby kogoś szukał. Pan Piotr się uśmiechnął i zaczęli starzy przyjaciele rozmawiać, by się wygadać za czas tak długi.

— Ale obetrzyjże włosy ze śniegu! mówił pan Piotr i przyszedł panu Pawłowi w pomoc. — Leez to nie był śnieg. Pan Paweł w przeciągu tej strasznej godziny posiwał jak gołąb.

— A Ignacy? przypomniał sobie pan Paweł.

Wyprawiono ludzi z latarniami, ale daremne było ich szukanie. Nawet śladu najmniejszego nie znaleźli, bo wszystko śnieg zasypał. Inne latarnie w inną stronę pojechały i nim godzina minęła, wróciła pani Pawłowa z Podjarek, wioząc ucieszoną Julkę wraz z panną Genowefą.

Wilja była wesola, jeszcze weselszy Nowy rok, a najwesołszy Trzech Króli, bo w ten czas odbył się ślub Stasia i Julii.

Starzy się odąd ani kłócili, przynajmniej chwilowe poswarki wnet się uciszały, bo w takim razie, czy który z nich, czy pani

Pawłowa przypomniała rajtuzy, to zaraz obydwaj i ściskali się co prędzej i śmieli i płakali zarazem.

Na wiosnę dopiero, gdy potajały śniegi, znaleziono kości Ignacego i kilka poszarpanych szmat z jego odzieży.

Jakim sposobem sanie w owej nocy przemknęły się przez wилcze doły, nikt nigdy nie mógł zrozumieć.

— To cud!.. mówił pobożny pan Piotr.

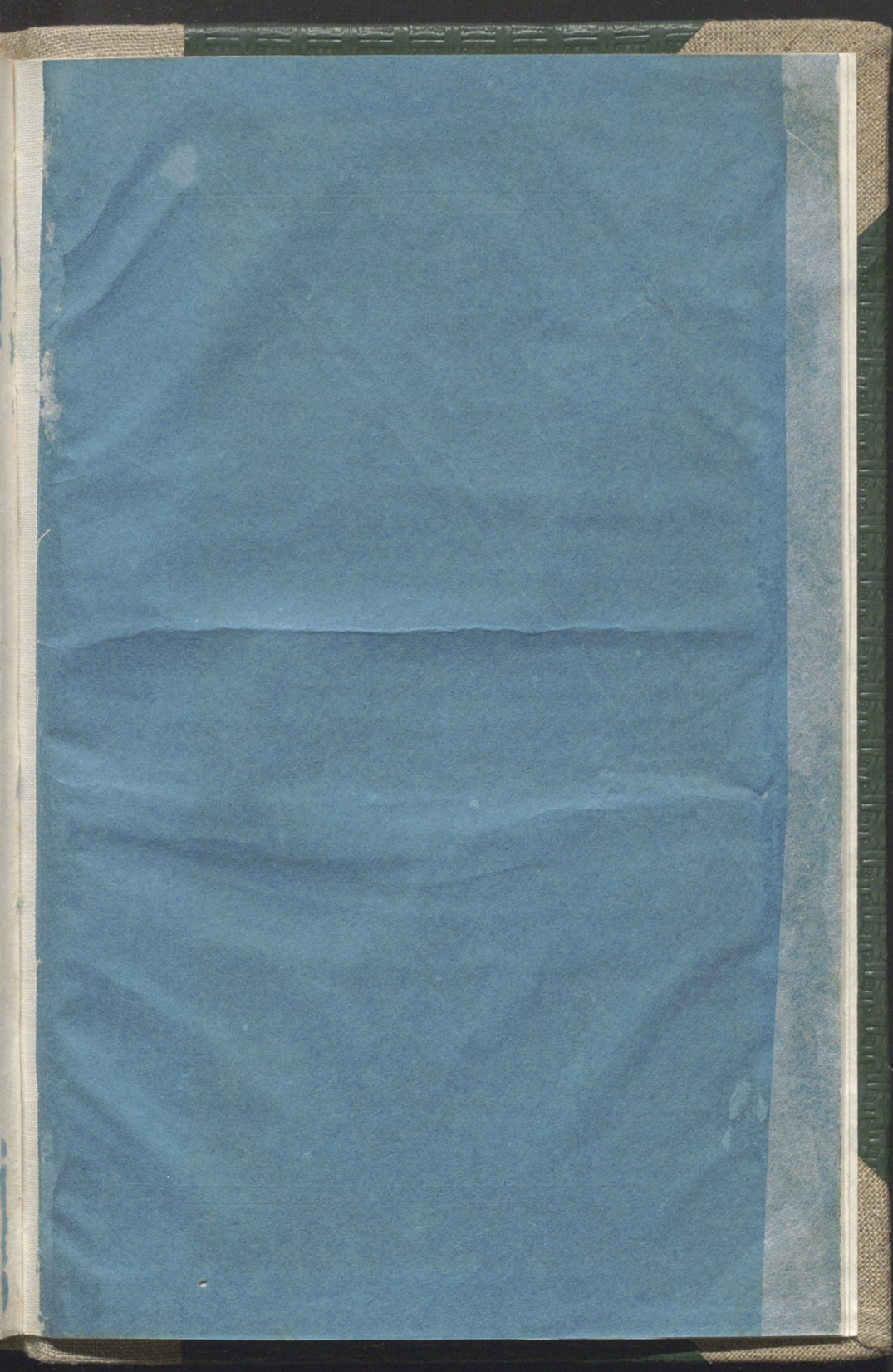
— To cud!.. powtarzał pan Paweł, który od onej nocy przestał przeklinać i wyśmiewać przyjaciela.

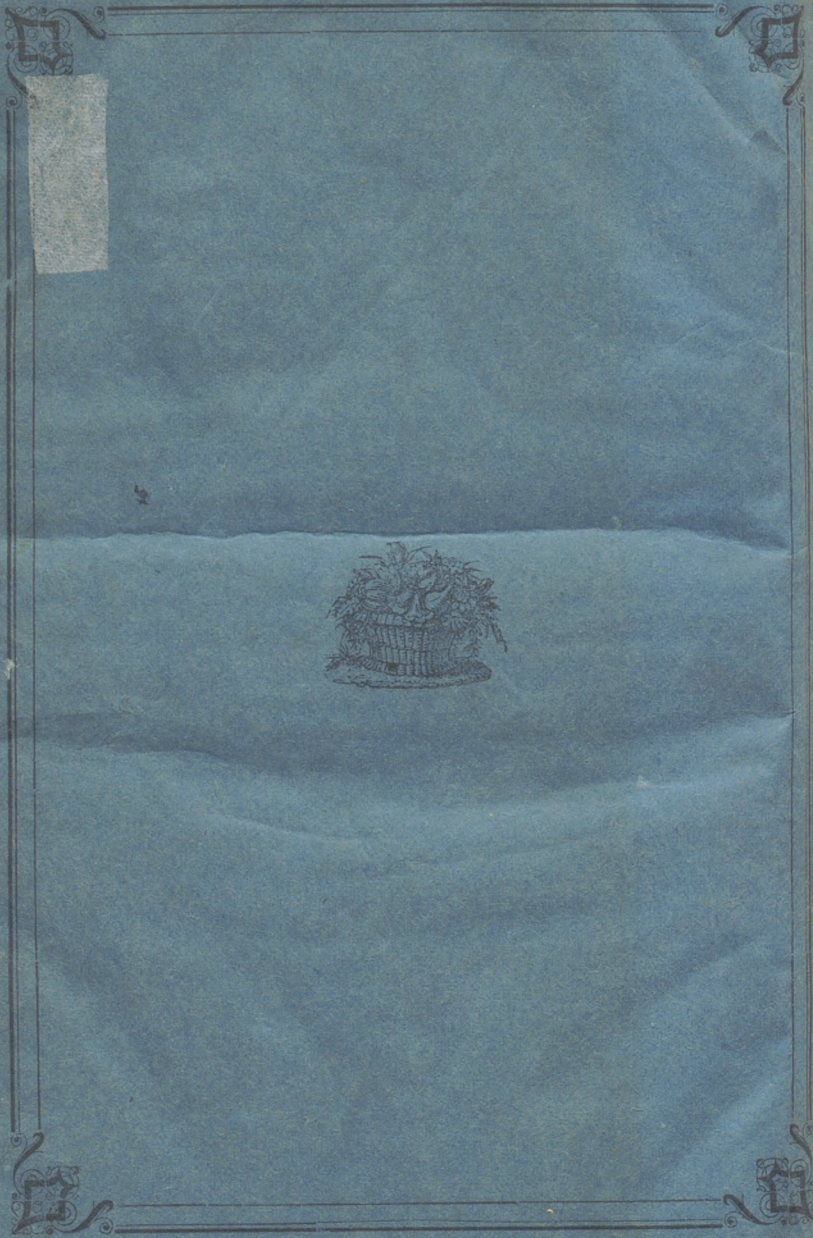
— To cud!.. powtarzała okolica, i ta straszna wyprawa przez wилcze doły jako cud żyje dotąd w pamięci ludności tamtejszej.

Wszystko przynajmniej najwyżej to karze odbywa i kasa się do  
pudła i smičh i płaćh karzem.  
... nie wiogno hajore, gdy potajbly aniegi, analeziono kocci lgn-  
... i kilka pozapanyeh samych jego odabry  
... i podobnie w podobem samie w owym nowy grzemknely sie przoz  
włozo doly, aże nigtly nie mogt rozmnieht.  
... To chd... mowli pobyty pan Piotr.  
... To chd... powtarzał pan Paweł, który od onaj nowy prze-  
stai przekłhnie i wzmianow przylaczoht.  
... To chd... powtarzała okolic, i ta szezasa wypywa przez  
włozo doly jako chd xytje doted w pamieci ludoche tamtazej.

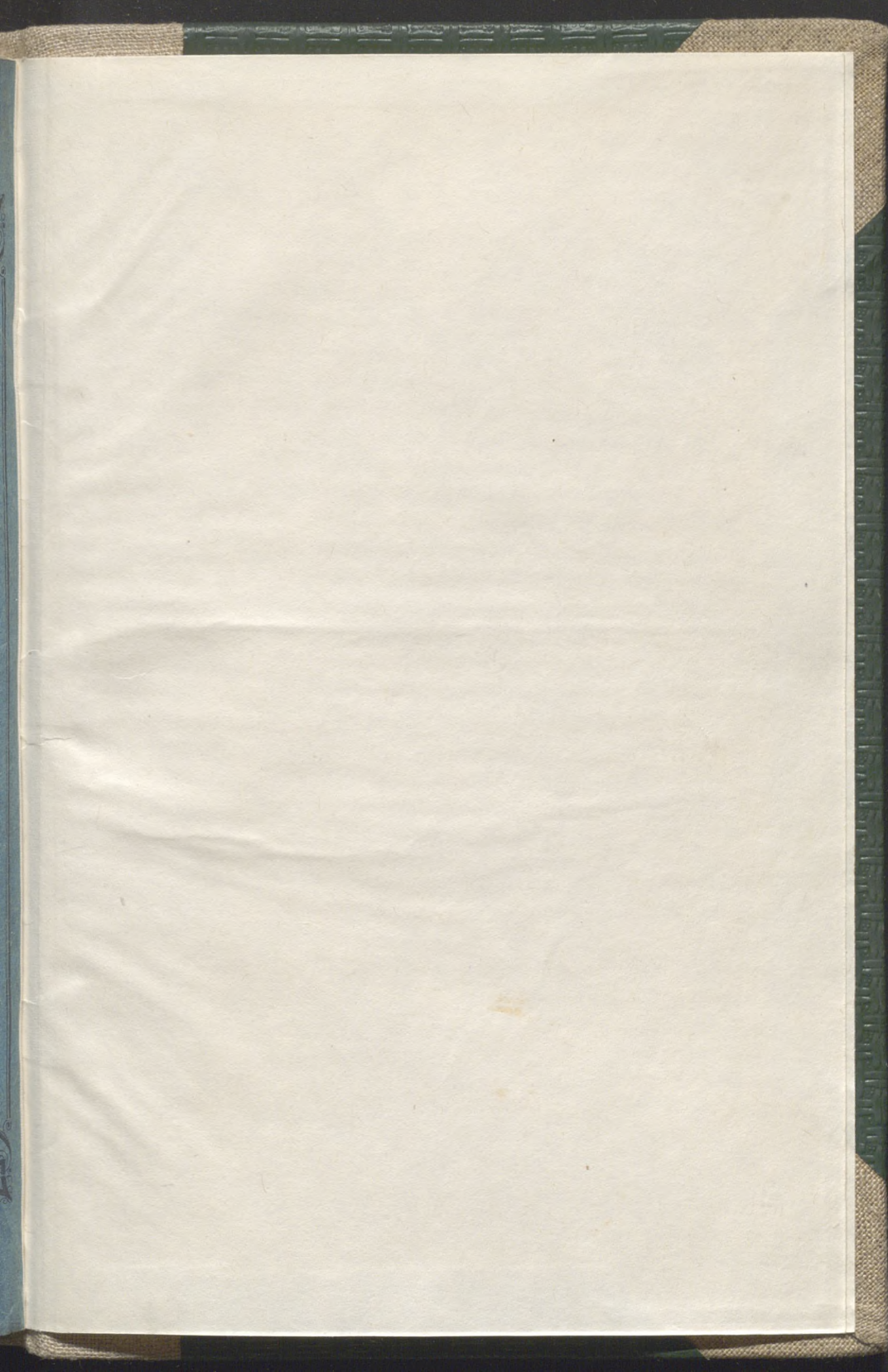
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to

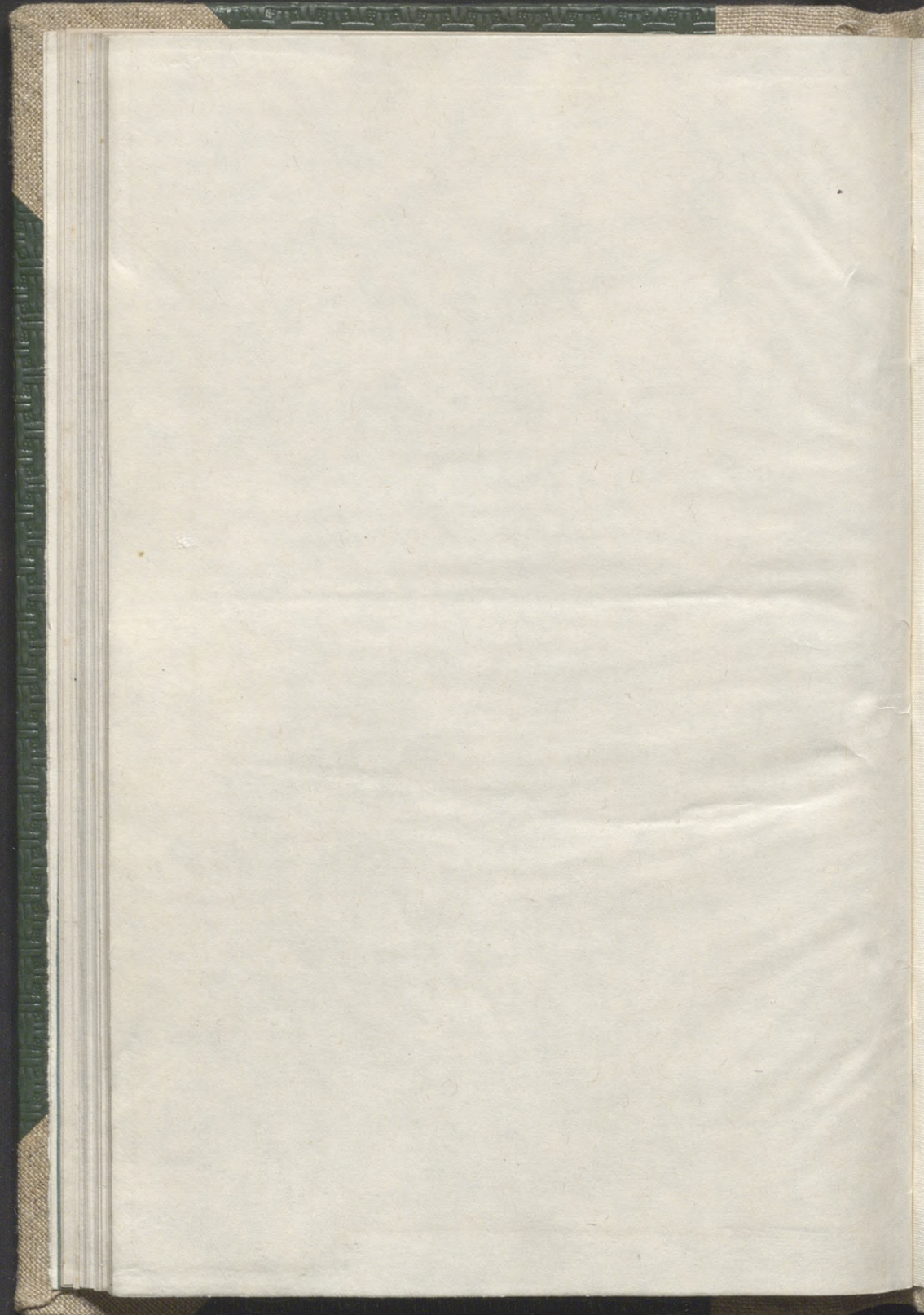
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to  
... i znowy pan Paweł, znowy w tym kasy, w to

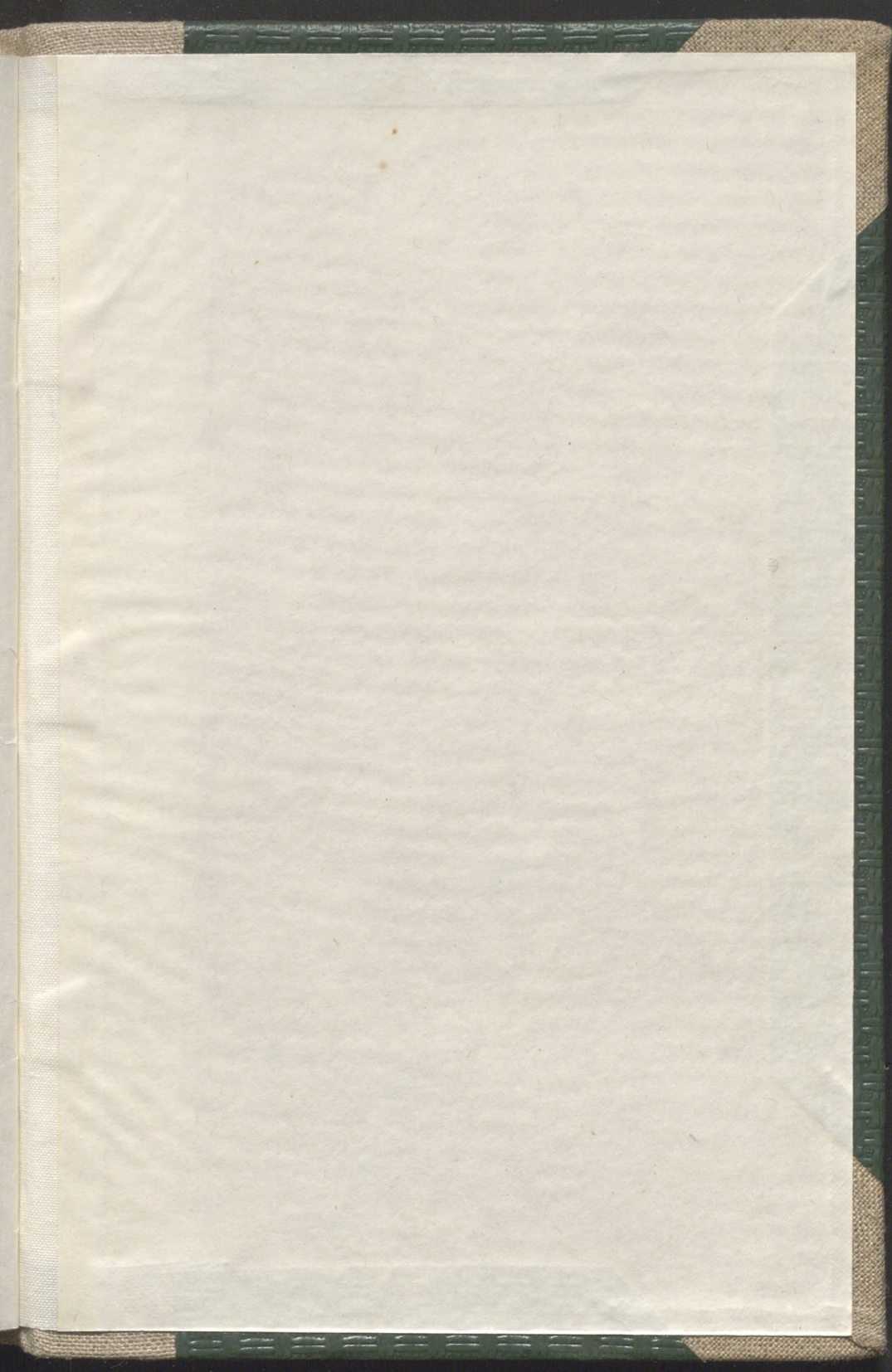














486768



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005029840